Cena 40 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

20 Grudzień 1936 r. Niedziela Nr. 17

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

Wskazania taktyczne

Pierwsza teza: warunkiem powodzenia jakiejkolwiek akcji na wojnie jest harmonijne i celowe współdziałanie wszystkich rodzajów broni i grup operacyjnych. Znaczenie tej zasady wzrosło niepomiernie z coraz większem zróżniczkowaniem sposobów walki. To też w wojnie nowoczesnej wszelkie jednorodne kohorty, falangi czy chorągwie husarskie, podejmujące działanie na własną rękę, byłyby narażone na zgubę niechybną.

Przytem wcale nie jest powiedziane, aby ruchy poszczególnych oddziałów miały być jednokierunkowe. To dobre było przy niewielkiej ilości walczących i na terenie szczupłym. Wszelako przy masach olbrzymich, w rozgrywkach wojennych naszych czasów, obowiązuje druga zasada, zasada Moltkego: „Maszerować oddzielnie, bić wspólnie".

Trzecią zasadą skutecznego działania wojennego jest ścisłe określenie głównych sił przeciwnika, które mają być zwalczone. Następuje potem wybór działania operacyjnego zależnie od sił i środków, jakiemi roporządzamy. Błędna lub złudna ocena sytuacji pod tym względem prowadzi zawsze do przegranej. Dodajmy, że przeciwnik z reguły maskuje swe siły główne, że przez demonstracje podstępne usiłuje wprowadzić w błąd i że podział sił naszych byłby dla niego atutem pierwszorzędnym.

Każda rywalizacja ludzka, każdy prąd społeczny i polityczny powinien czerpać wskazówki z teorji i doświadczenia wojennego, nawarstwianego przez wszystkie narody i przez wszystkie stulecia. Dlatego też powyższe wskazania taktyczne mogą być uogólnione i służyć nietylko wojskowości, lecz jednocześnie być miarą porównawczą dla wszelkich poczynań ludzkich. Jeśli pod pojęciem wroga będziemy rozumieć opory naturalne i sztuczne, a zwycięstwem nazwiemy osiągnięcie celu, to odchylenie się lub zastosowanie wskazań powyższych da nam odpowiedź na przewidywane porażki lub powodzenia.

Niema najmniejszej kwestji, że cały świat przeżywa teraz dewaluację wartości dawniejszych i to w wielu dziedzinach. Może jedynie dekalog nie jest kwestjonowany. Ale zachwiały się zarówno normy gospodarcze, jak i ustrojowe, co już pociąga za sobą konsekwencje powszechne. Oczywiście, pozory trwałości tu i owdzie są, lecz gdyby im odjąć nacisk zewnętrzny i brutalny, nacisk siły mechanicznej, utrzymującej zwartość, to owe koncepcje zbawcze i rzekomo doskonałe runęłyby, jak budowla pełna błędów w obliczeniu i grzechów w wykonaniu. Z tego powodu sąd bezstronny musi orzec, że mają rację bytu rozmaite poglądy, wielorakie metody, plany działań różnorodne, nieraz wzajemnie sprzeczne i wciąż niewyjaśnione.

Cóż zatem pozostaje? Walka. Kto mówi „tak", gdy inny mówi „nie", ten walczy, ten rzuca pocisk myśli w starcie pojęć. W dzisiejszych czasach nie są to nawet starcia bezkrwawe, bo niejedna demonstracja poglądów pociągnęła za sobą ofiary w ludziach, co ogół albo zlekceważył, albo się nigdy o tem nie dowiedział. W każdym razie rozbieżność pojęć nastała zbyt wielka, aby nie należało określać masowych ruchów społecznych i narodowych jako stanu bojowego. W rezultacie po jednej stronie jest to, co panuje, a po drugiej to, co chciałoby panować. Rzeczywistość i opozycja.

Widzimy to wszędzie, widzimy zatem i w Polsce. Rzeczywistość wykrusza się z dnia na dzień, a jednak trwa przez bezwład faktów, rzeczy i ludzi. Niema takiego oportunisty, któryby nie przewidywał rychło zmian, ale i niema takiego reformatora, któryby zdołał sprecyzować zmiany. To też racją bytu polskiej rzeczywistości wcale nie jest jej moc i sens wewnętrzny, lecz raczej niemoc i bezsens opozycji jako całości. Rzeczywistość jest licha i opozycja jest licha.

Utrzymując nadal analogje militarne, można powiedzieć, że obóz, panujący nad naszą rzeczywistością, przejawił uzdolnienia taktyczne chociażby przez umiejętność realizowania zasady d i v i d e e t i m p e r a, natomiast strategicznie, a więc ideowo jest zupełnie jałowy. Wręcz odwrotnie dzieje się wśród opozycji, w której każda grupa mogłaby się wylegitymować określonym programem, ideją przewodnią niezbrukaną korzyściami osobistemi, atoli ich metody taktyczne, wiodące do realizacji przekonań, są nad wyraz niedołężne.

Wytworzyła się tedy sytuacja dziwaczna. Przeciwnik wyczerpany i bez posiłków z jakiegokolwiek odłamu społeczeństwa jest całkowicie otoczony i bez wyjścia. Wzywa pomocy — naprózno. Szuka sojuszników — daremnie. Wypuszcza balony próbne i gołębie

pokoju, które nigdzie nie trafiają. Grozi i prosi, obiecuje i nie dotrzymuje, waha się i krzepi, próbuje kolejno metod nowych i starych, kaja się i pyszni. Powinienby dawno upaść. Jeśli nie pada, to w znacznym stopniu dlatego, iż w ogonku zgłaszają się do niego parlamentarjusze skłóconej i chaotycznej opozycji.

Dawno już pora powiedzieć to wyraźnie, że opozycja polska przypomina pospolite ruszenie z najsmutniejszych okresów naszej historji. Niewątpliwie zgromadziły się masy narodowe, lecz wodzowie mas nie stoją na wysokości zadania. Ani jedno ze wskazań taktycznych nie jest przez nich szanowane. Nie określili głównego wroga, albo określili go zależnie od maści partyjnej. Żydzi, masoni, komuniści, liberalizm, demokracja, parlamentaryzm, kartele, socjaliści, reforma rolna — długo możnaby wyliczać listę celów do ataków opozycji pomiędzy sobą. Walczą w imię spraw hiszpańskich, zapominając o polskich. Walczą także od czasu do czasu i ubocznie o domniemaną władzę, lecz gdyby ktokolwiek z opozycji osiągnął tę władzę, to w jednej chwili stanąłby przed frontem byłych sojuszników, rozjuszonych wzajemnemi inwektywami z okresu rzekomej wspólnoty interesów.

Pozostałe wskazania taktyczne także zlekceważono. Hypnoza władzy monopolowej, która przyszła do nas z Włoch, Niemiec i Rosji, a pośrednio eksperymentem poparta w Polsce, doprowadziła do żądania ruchów jednokierunkowych i używania metod jednorodnych. Monopartja stała się ideałem. Opozycja nieco odmienna już nie nazywa się sojusznikiem, lecz zdrajcą sprawy polskiej, szkodnikiem, którego należy tropić i tępić. A że opozycja przy wzajemnem zwalczaniu się nie korzysta z opieki prawa i przywileju państwowego, przeto niema ograniczeń w zjadliwości i niesprawiedliwości ataków. To już nie wojna z rzeczywistością, ale zaślepione sekciarstwo, które wymaga przedewszystkiem marszu jednej jedynej falangi wyznawców.

Nawet i z chaosu wyłania się ład, lecz niesłychanie wolno. Jeżeli natomiast chce się przyspieszyć procesy ewolucyjne i osiągnąć zmiany pożądane, o które chodzi wszystkim uczciwym obywatelom kraju, to trzeba zorganizować siły wyzwalające. Nie uczyni tego opozycja dopóty, dopóki będzie ślepa w dostrzeganiu istotnego niebezpieczeństwa, dopóki nie zrozumie, że naprzód trzeba usunąć złą rzeczywistość, a dopiero później przystąpić do walki ze złą możliwością. Kolejność usuwania przeciwieństwa musi być utrzymana.

To są właśnie przyczyny, dla których porozumienie narodowe nie jest ani naiwnością, ani obłudą, ani pośrednią pomocą w stosunku do istniejącego stanu rzeczy, lecz, przeciwnie, jedynym sposobem nierewolucyjnym osiągnięcia celu. Apostołowie wyłączności prawej czy lewej nietylko że sami nigdy nie zdobędą władzy trwałej, a gdyby zdobyli, to nastąpiłby ponowny okres kosztownego wyzwalania się z pod gwałtu, ale ponadto opóźniają ewolucję i przez błędy taktyczne utrzymują kraj w stanie bezpłodnej rozterki.

Raptularz tygodniowy

(OSTATNI ENTUZJASTA — MAŁE ROZWIĄZANIE — PROPAGANDA — „WSPÓLNOTA INTERESÓW").

Książe J. Radziwiłł przemówił w Krakowie na obiedzie konserwatystów. Tam nie było obawy odebrania głosu, więc wypowiedział się dokładnie. Mowa jego według streszczeń w prasie była ostatnim, ale nie mniej rzewnym i głęboko odczutym nekrologiem B. B. W. R. Nekrologista skłonny jest uważać B. B. za arcytwór myśli politycznej i wszystko zło, które w obfitej mierze zauważył w Polsce, powstało po zamknięciu tej organizacji politycznej. Niepokój księcia Radziwiłła na widok tego, co się dzieje, uważamy za zupełnie usprawiedliwiony, tembardziej, że możemy do jego niepokojów dołączyć jeszcze inne dalsze, których dotąd nie dostrzegł, ale które, jak mamy nadzieję, z biegiem czasu dostrzeże. Odnosić się to będzie także i do tej dziedziny, z której jest dumny, przyczem bliżej tego nadmiaru zadowolenia nie uzasadnił. Ks. Radziwiłł powiedział: „odradzają się mafje, partyjnictwo, prywata. Odradza się wszystko, co od roku 26 było tak energicznie zwalczane". Otóż w tem miejscu ujawnia się cała jednostronna — słuszność poglądu ks. Radziwiłła. Owszem „wszystko było zwalczane" od roku 26, ale u przeciwników politycznych, u opozycji ściganej wszystkiemi sposobami autorytatywnego rządu. Natomiast dla swoich B. B. W. R. był właśnie idealną pożywką dla narostów i przerostów wulgarnego partyjnictwa. Był tak urządzony, że nie mogło być inaczej. A to, że odradzają się dzisiaj mafje, partyjnictwo etc., to właśnie dlatego, że grunt był użyźniony, a wszystkie inne metody życia politycznego z musu — ugorują. B. B. W. R. nie mógł być innym, aniżeli był, bo takiej sobie właśnie życzono w decydującem miejscu i mało sto razy słyszał to przywódca konserwatystów na konwentyklach i poufnych odprawach. Możeby senator Radziwiłł powiedział coś o Wołyniu, skąd posłował tyle lat i przewodził Blokowi Bezpartyjnemu, możeby powiedział cośkolwiek o przyczynach, dla których ostatnio kandydował do senatu z województwa warszawskiego, a nie z Wołynia? A nie szukając dalej, możeby przypomnieć protokóły sądu choćby w sprawie b. senatora Dobieckiego. I z pewnością nie chodzi o osoby, lecz senator Radziwiłł utrzymuje, że partyjnictwo narodziło się — po śmierci B. B. I wzdycha do tych czasów bezmafijnych i programowych. Czegóż więcej księciu senatorowi gratulować: szczerości czy znajomości rzeczy ?

* * *

Na kilka dni przed nowemi wyborami do Rady Miejskiej w Poznaniu Trybunał Administracyjny rozstrzygnął przychylnie skargę Koła Narodowego w Radzie poznańskiej przeciw rozwiązaniu poprzedniej Rady miejskiej. Dowcip cały polega na tem, że w poprzedniej radzie prawica miała mniej więcej połowę mandatów, a w nowej zdobyłaby bez trudu 75%. Uwzględnienie dawnego protestu jest więc właściwie pokrzyżowaniem rachub, ale trudno. Rozpoczyna się działalność dawnej rady miejskiej. A tak się wszyscy spodziewali nowej rady, że tymczasowy prezydent miasta pułkownik Więckowski szybko wystarał się o nowe stanowisko, zostawszy prezesem Rady Nadzorczej w zakładach Cegielskiego w Poznaniu. A rezultat istotny? Trudno nazwać go inaczej niż: mętlik powszechny. Odsunięcie prawicy od zarządu miasta jest jej w gruncie rzeczy całkiem na rękę, ułatwia dalszą agitację, a nie narzuca odpowiedzialności. Będzie dalej zdobywała opinję, a sanacja grząść będzie w malutkich gierkach. To „małe rozwiązanie" nie jest logiczne ani celowe. Nie powinno się wykonywać ustawy samorządowej pod hasłem: było nie było...

* * *

Są jeszcze dziennikarze, którzy chlebodawców słuchają na piff... Pan Korab Kucharski w korespondencji Gazety Polskiej ogłosił „koniec politycznej spółki", to znaczy rozbicie frontu ludowego we Francji akurat w dniu, w którym zarówno głosowanie w parlamencie, jak i uchwały frakcji komunistycznej rząd ten wzmocniły. Można nad tem ubolewać, lecz podawać do wiadomości rzeczy całkowicie sprzeczne z faktycznym stanem rzeczy, to coś całkiem innego i inaczej się w języku politycznym nazywa. No i te czyste bzdury pod wieczór są czytane słuchaczom radjowym z całą powagą, na jaką stać recytatora, nie rozumiejącego, o co chodzi. Drugi informator tej samej gildy prowadzi via radio propagandę parlamentarną. Obwieszcza codziennie uroczyście, co się stało w tym sejmie i senacie, w takim stylu, jakby chodziło o całkiem inny parlament i jakgdyby wydarzenia te działy się na innej płaszczyźnie. Rozdyma nic nie znaczące powiedzonka i uchwały do rozmiarów wydarzeń dnia, powiększa rozmiary każdego posunięcia stokrotnie i tym sposobem pragnie uzyskać „efekt propagandowy", jak brzmi termin technicus. W Austrji istniał dworski dzienniczek, gdzie rejstrowano nawet ilość bażantów ustrzelonych na dworskich polowaniach. Teraz przydałaby się jakaś statystyka bufetowa.

* * *

Niedawno czytaliśmy bardzo interesującą rozprawę o „Wspólnocie interesów". Drukowało ją coprawda pismo literackie, a rozprawa była pióra nowelisty p. Goetla. Potem pojawiła się notatka o zmianach w zarządzie „Wspólnoty", przyczem padło nazwisko doskonale ustosunkowanego urzędnika Ministerstwa Przemysłu i Handlu, któremu przecież także coś się należy. Ale równocześnie w prasie zagranicznej (szwajcarskiej) pojawiły się dalsze informacje, bynajmniej nie stwierdzone u nas, o wewnętrznem przesileniu. Wiemy, co to oznacza w języku giełdowym. Ale „Wspólnota interesów" już teraz stanowi przecież chlubę przemysłu a ma stanowić coś w rodzaju olbrzymiego tanku w ręku polityki etatyzującej ciężki przemysł. Wydaje się być najgorszą ewentualnością, gdyby spróbowano przejść do porządku dziennego nad wszystkiemi ostrzeżeniami a próbowano dokonać połowicznej reformy w myśl starej zasady naszych pobratymców: „chytro mudro newełykym kosztom". Nie będzie naturalnie upaństwowienia i nie będzie pełnej prywatyzacji, będzie tylko translokacja kilku urzędników z Warszawy do Katowic i wyraz zadowolenia na harcerskiej fizjognomji wojewody śląskiego. Jakby jednak nie było, wartoby się dowiedzieć, co się dzieje w tym kolosie. Biadolący ekonomiści szepcą, że ma strasznie chłonny żołądek a nogi gliniane.

Tot.

W. NIENASKI.

Chińskie cienie

Zazwyczaj pod wiosnę nadchodzą alarmujące wieści z Dalekiego Wschodu. W tym roku nadeszły już na początku zimy. Rewolta czy zamach stanu marszałka Czang Hsue Lianga i uwięzienie dyktatora Chin, Czang Kai Czeka, to niewątpliwie wstęp do poważnych wydarzeń. Wszak wśród warunków, jakie zbuntowany marszałek postawił rządowi nankińskiemu, znajduje się ultimatum dla Japonji z żądaniem natychmiastowego zwrotu Hopei i Czaharu. W razie odmowy — wojna.

W chwili, kiedy te słowa piszemy, znamy dopiero pierwsze depesze o wypadkach. Nie wiemy, czy ruch antyjapoński Czang Hsue Lianga będzie początkiem nowej wojny domowej w Chinach, czy też początkiem wojny sowiecko - japońskiej o Chiny. Nie wiemy, czy ruch ten jest ruchem narodowym, który powstał samorzutnie, jako ustępliwość rządu nankińskiego i marszałka Czang Kai Czeka wobec rosnących żądań japońskich, czy też jest on odpowiedzią Sowietów na berliński pakt pomiędzy Japonją a Niemcami i układ japońsko - włoski, zawierający uznanie Mandżu-kuo przez Włochy. Czy wreszcie umiejętną prowokacją japońską, dającą świetny pretekst do dalszej interwencji. Wątpimy, czy w najbliższej przyszłości sprawy te wogóle będą wyjaśnione. Pamiętamy dzieje rozbiorów Polski, wiemy, jak trudno jest przeprowadzić granicę pomiędzy najlepszemi intencjami, płynącemi z najczystszych pobudek patrjotycznych, a robotą płatnych agentów tej czy innej strony, nastroje patrjotyczne wyzyskujących. Wiemy, że nie każdy zdrajca jest naprawdę zdrajcą i niejeden patrjota może być świadomem lub nieświadomem narzędziem w rękach obcych agentów. Sądzimy, że w dzisiejszych Chinach sprawy układają się wcale podobnie. Nie brak na ich terenie obcych agentur i nie brak też patrjotów, którzy z rozpaczą patrzą na upadek wielkiej ojczyzny i poczynania japońskie. Nie brakło materjału palnego i nie łatwo będzie ustalić, kto i z jakich pobudek pożar rozpalił. Zwłaszcza, że propaganda z różnych stron rozpocznie działać. Na przykładzie Hiszpanji widzieliśmy, jak się to robi.

Nie wydaje nam się, żeby inicjatywa nowych zamieszek w Chinach mogła wyjść ze strony Sowietów, które dotychczas skrupulatnie unikały wszystkiego, co mogłoby je uwikłać w wojnę z Japonją. Nie wskazuje na inicjatywę sowiecką ani pora wybuchu u progu zimy, kiedy to wszelkie transporty przez Syberję stają się niezwykle utrudnione, ani fakt, że wybuch nastąpił właśnie w czasie nieobecności na Dalekim Wschodzie marszałka Blüchera, który dopiero na gwałt wracał z Moskwy na wschód. Pozory wskazują wprawdzie na Sowiety, jako na sprawcę zamachu stanu marszałka Czang Hsue Lianga. Sądzimy jednak, że jeżeli nie był to ruch niezależny i spontaniczny, to raczej dopatrywaćby się w nim należało prowokacji japońskiej. Is fecit, cui prodest. A w utrzymaniu wrzenia w Chinach i posiadaniu pretekstów do interwencji najbardziej zainteresowana jest Japonja. Byłby to zatem jeszcze jeden przykład niebezpieczeństwa polityki „dynamicznej“, która podminowuje coraz bardziej pokój światowy.

Jakiekolwiek działały tu przyczyny, pozostaje jednak fakt, że na Dalekim Wschodzie rozpoczął się nowy pożar, pożar, który może okazać się bardzo niebezpiecznym dla pokoju światowego. Bez względu na to, kto wywołał wypadki chińskie, obojętnie wobec nich nie zachowa się żadna z zainteresowanych w Chinach stron. Z wysiłkiem manewrował dotychczas bardzo zręczny dyktator Czang Kai Czek pomiędzy stronami. Napewno nie sympatje dla Japonji powodowały jego ustępliwość wobec coraz to nowych żądań Japonji, lecz poczucie słabości Chin, którym „opiekunowie“ nie pozostawiają czasu na zorganizowanie się i podjęcie obrony. Polityka Czang Kai Czeka w każdym razie obecnie się skończy. Nawet w wypadku najpomyślniejszym, t. j. albo ugody pomiędzy walczącemi stronami albo szybkiego i decydującego zwycięstwa jednej ze stron, nie ulega wątpliwości, że polityka ustępstw wobec Japonji nie będzie mogła być kontynuowana. Dla rządu nankińskiego bowiem będą wypadki ostatnie ostrzeżeniem i sygnałem, jaskrawo oświetlającym nastroje społeczeństwa chińskiego. Będzie się musiał z niemi liczyć nawet w razie zupełnego zwycięstwa. A cóż dopiero w razie ugody.

Jeszcze niebezpieczniejszą będzie sytuacja w razie wybuchu wojny domowej i jej przewlekania się. Tu grozi powtórzenie się wypadków hiszpańskich. Wojna domowa łatwo przerodzić się może w jawną lub ukrytą wojnę Japonji z Sowietami. Podobnie, jak to stało się obecnie w Hiszpanji, wojna domowa będzie naprawdę wojną nie Chińczyków pomiędzy sobą, ale ich „opiekunów“ na terenie Chin. A od tego jest już krok jeden tylko do wybuchu wojny otwartej, która musiałaby pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa. Trudnoby bowiem było wojnę tę zlokalizować tylko na Dalekim Wschodzie.

Nie wątplimy, że podobnie, jak wobec wypadków hiszpańskich, zacznie działać i wobec wypadków chińskich światowa straż pożarna mocarstw, stojących na straży pokoju. Ale zadanie jej, które już w Hiszpanji okazało się ogromnie trudne, na Dalekim Wschodzie okaże się jeszcze trudniejsze. Liga Narodów raz już w tych sprawach zawiodła i okazała się wobec Japonji słabą i bezsilną. Wysiłki pokojowe ogranicza się zatem do medjacji angielskiej i francuskiej. Nie wiadomo, czy to wystarczy.

Jest jednak jeszcze jeden czynnik, który odegrać tu może decydującą rolę. Są nim Stany Zjednoczone. Wbrew właściwemu stanowisku Ameryki, która pragnie zachować zupełną neutralność wobec wypadków w innych częściach świata, aktywność Japonji popycha nieuchronnie Stany Zjednoczone ku porzuceniu bezwzględnej neutralności i zajęciu stanowiska wobec grup mocarstw, które wyraźnie się zarysowują. Broniąc własnych interesów, Stany Zjednoczone muszą szukać zbliżenia z mocarstwami o interesach identycznych. Podobnie jak aktywność niemiecka i włoska spowodowały odrodzenie się Entente Cordiale angielsko - francuskiej, tak aktywność Japonji prowadzi do zbliżenia się Stanów Zjednoczonych z Anglją i Francją. Razem zaś te trzy państwa stanowią taką potęgę, że dwa razy będzie się musiał namyślić ten, kto zaryzykuje wojnę z niemi. Wyjście z rezerwy Stanów Zjednoczonych może zatem odegrać rolę decydującą, podobnie jak odegrało ją w czasie wielkiej wojny. Jest to jedyny jasny punkt na horyzoncie politycznym, na który kładą się czarne cienie chińskie, grożące wojną światową.

My w Polsce wobec wypadków na Dalekim Wschodzie nie możemy pozostać obojętni. Przeniesienie się pożaru z Chin do Europy dotyczy nas bardzo blisko. Szczęściem utrwala się już w społeczeństwie przekonanie o konieczności związania polityki polskiej z blokiem państw pokojowych, Anglji i Francji, blokiem, do którego wypadnie wnet już chyba zaliczyć i Stany Zjednoczone. Przekonanie to zmusiło już nawet oficjalnie kierownictwo naszej polityki zagranicznej do porzucenia ryzykownych eksperymentów i wejścia, choć ociągając się jeszcze i klucząc, na tę jedynie słuszną drogę. Tylko w pełnej zgodzie z polityką tych mocarstw możemy uniknąć tragicznego problemu z kim i przeciw komu, problemu, który nieuchronnie stanąłby przed nami w razie rozszerzenia się konfliktu na Dalekim Wschodzie na Europę. Związana z Francją i Anglją, Polska może odegrać swoją rolę w niedopuszczeniu do tego, aby cienie chińskie sięgnęły aż po nasze granice.

Kronika Zagraniczna

GEN. SAMSONOVICI W POLSCE.

W krótkim czasie druga to już wizyta rumuńska. Co prawda zapowiadana już od dawna, jeszcze przed wizytą ministra Antonescu, i odkładana kilkakrotnie. Szef sztabu sprzymierzonej armji jest zawsze w Polsce miłym gościem. Wolimy ciepłą temperaturę obecnych przyjęć i wizyt, od tego chłodu, który panował tak niedawno w stosunkach polsko - rumuńskich. Tylko wolelibyśmy jeszcze, żeby cykl wizyt rumuńsko - polskich nie łączył się z niepokojem u wschodniego sąsiada a nawet i nad Sekwaną, gdzie p-ni Tabouis notuje dziwne pogłoski. Chcemy wierzyć, że pogłoski te są pozbawione podstaw, że to tylko echa dawnych grzechów. W sojuszu polsko - rumuńskim niema i nie powinno być nic, coby mogło niepokoić kogokolwiek, a już chyba najmniej naszego najważniejszego sprzymierzeńca, Francję. Wyraźne tego stwierdzenie z oficjalnej strony byłoby bardzo na czasie.

ZAPOWIEDŹ EXPOSÉ W SENACIE.

Rząd gen. Sławoja - Składkowskiego przedstawił swoje stanowisko w sejmie w mowach premjera i wicepremjera. Uderzał w nich brak ustępów, poświęconych polityce zagranicznej, zazwyczaj przy sposobności otwarcia sesji budżetowej wygłaszanych. W senacie exposé rządowego nie było. Dyskutuje senat nad exposé w sejmie. Natomiast w senacie właśnie ma wygłosić swoje exposé p. min. Beck. Exposé p. min. Becka należą do rzadkości i dotychczas nie były zbyt wiele mówiące. Ostatnio mieliśmy popularny wykład o zasadach polityki zagranicznej, na poziomie kursów dokształcających. Może tym razem zechce p. minister Beck, który widocznie lepiej czuje się w senacie, niż w sejmie, gdzie może mogłaby potoczyć się dyskusja, powetować senatowi zawód, jaki mu sprawili premjer i wicepremjer i wy-

głosi rzeczywiste exposé o polityce zagranicznej. Zwłaszcza ciekawi jesteśmy ustępu o Gdańsku.

OSTATNI AKT DRAMATU.

Dość nieoczekiwanie Anglja zmieniła — króla. Ostatni akt dramatu Edwarda VIII rozegrał się godnie i poważnie. Zrobiono z obu stron wszystko, aby do minimum sprowadzić złe skutki kryzysu, jaki Anglja przeżyła. Ale i tak w bilansie figurują straty. Stratą jest dalsze rozluźnienie węzłów, łączących z imperjum Irlandję, która zręcznie skorzystała z okazji, aby pozbyć się gubernatora królewskiego. Stratą jest podważenie prestiżu korony, która okazała się niewarta pani Simpson. Niebywałą była mowa posła Maxtona, który mówił o przeżyciu się formy monarchji i wzywał do wprowadzenia republiki. Głos to był odosobniony — ale izba wysłuchała go w milczeniu i bez protestu. Nie można zaprzeczyć, że są w tym bilansie i plusy. Do nich trzeba przedewszystkiem zaliczyć rolę premjera Baldwina, który z przesilenia wychodzi opromieniony aureolą prawdziwego męża stanu. Zwłaszcza jego spowiedź w izbie była historycznym dokumentem taktu i dojrzałości politycznej. Plusem też nazwać trzeba zachowanie się opozycyjnej Labour Party, która złożyła świadectwo, że dojrzała całkowicie do objęcia rządów w imperjum, gdyby ją do tego wyborcy powołali. Plusem wreszcie jest dowód przywiązania społeczeństwa angielskiego do swobód demokratycznych i rządów parlamentarnych, wobec którego popularność króla musiała zblednąć. Nowy król, Jerzy VI, niewątpliwie utrzyma się całkowicie w tych ramach, w których rolę króla zamknął jego ojciec. Będzie panował, ale nie rządził.

MOWA SCHACHTA.

Dr. Schacht mówi jasno i wyraźnie. W ostatniej mowie żądał kolonij i — przedwojennych granic Niemiec. Nie bawił się w snucie planów krucjat. Mówił o rzeczach, które mogą stać się realne — już jutro. Wskazał wyraźnie na Poznańskie i Pomorze, których posiadanie wystarczyłoby Niemcom, dla zapewnienia samowystarczalności w zakresie wyżywienia. O Górnym Śląsku mówił już poprzednio. Kolonje są potrzebne Niemcom dla zdobycia surowców i zupełnego zamknięcia się w sobie, bez potrzeby uciekania się do rynków międzynarodowych. A więc wszystko — dla przygotowania zamkniętej fortecy niemieckiej na wielki wypad w przyszłości i wytrzymanie dłuższego oblężenia, w razie, gdyby wypad się nie powiódł. Roztoczył „mały” program. Nie obwijał go w bawełnę, nie prawił Polsce duserów dla zamydlenia oczu. Mamy nadzieję, że dyplomacja nasza zrozumiała ten język, który nie wymaga komentarzy. I że p. ambasador Lipski zapytał się na Wilhelmstrasse, jak pogodzić tę mowę wybitnego członka rządu z układem polsko - niemieckim i tak niedawną przyjaźnią.

ANGOLA.

Według wiadomości prasy paryskiej sprawa oddania Niemcom przez Portugalję kolonji jej Angoli jest już pozytywnie zdecydowana. Nie wiadomo tylko czy idzie o całą Angolę, czy tylko o jej część, nie wiadomo, czy będzie to kupno, czy tylko dzierżawa. Plany kolonjalne niemieckie wchodzą w każdym razie w stadjum realizacji. Zyskują Niemcy bramę wypadową w Afryce, co słusznie niepokoi angielskie Dominium w Afryce południowej, w którem Niemcy organizują wyraźnie żywioł niemiecki w związki hitlerowskie. Akcja ta tak jest wyraźna, że aż rząd uznał za konieczne przeciw niej wystąpić. Czy nie znajdzie naśladowców i w innych, bliższych, zagrożonych punktach?

Tamten świat

Nie jest przypadkiem w życiu kulturalnego człowieka, z kim przestaje. Podobne naturą i siłą są nakazy moralne i obyczaju, które kierują dyplomacją państw. Owszem, zdarzy się, że potrzeba, że interesy skłonią do doraźnego układu z kimkolwiek, do porozumienia w tej czy innej materji życia codziennego. W niczem to jednak nie zmienia i zmienić nie zdoła reguły życia, która wymaga określonego środowiska, klimatu i orjentacji. Ta duchowa konieczność wiodła przez 18 lat nieprzerwanie dyplomację naszą wytkniętą drogą. Każde odchylenie, choćby pozorne, nawet taktyczne wywoływało w opinji przykrość i niepokój. Dlatego też dwie ostatnie wizyty, oba polityczne giesty, w stronę Francji i W. Brytanji przywróciły w kraju spokój i zadowolenie. Nie jest czczym frazesem, ani zwrotem publicystycznym pewnik do znudzenia latami powtarzany: jest tylko jedna polityka zagraniczna dla Polski.

A jednak i to w naszych czasach wymaga uzasadnienia i czujności ciągłej, dbałej, rozumnej. Dyplomacja dzisiejsza nie jest już zgodna w zasadach taktu, dobrego wychowania i międzynarodowej dyscypliny, które zakazują surowo mieszania się w sprawy wewnętrzne obce. Panowie Hitler i Stalin organizują zasłony wojenne, a patrzą na mapę świata nie z lotu ptaka, lecz horyzontalnie: wolą oni obaj oglądać państwa i narody w przekroju walki wewnętrznej, nawet i wojny domowej. Są to sprawy realne i nam także niestety bliskie: oto naprzykład prawi mi rozpolitykowany szlachcic kilkuwłókowy, że nic nam, Polakom, po jakimś „froncie Morges”, skoro w świecie rozgrywka między komunizmem a nacjonalizmem. Trzeba się rychło i stanowczo wypowiedzieć. W parę zaś chwil potem spotykam nauczyciela ludowego, który swoje credo polityczne umocował nieodwołalnie na sztandarze rządu madryckiego. Z jednej więc, jak i z drugiej strony wieją wiatry i u nas mocne i groźne dla rąk, które ster polityki zewnętrznej trzymać muszą. Wiemy, że armja nasza dość jest krzepka i stanowcza, żeby zagrodzić drogę przemarszom z Zachodu na Wschód czy odwrotnie. Wartoby jednak sprawdzić uważnie, zali ustrój nasz dosyć jest szczelny, organizm dostatecznie swobodny i zdrowy, a powietrze tak czyste, by bakterje wiatrami naniesione uśmiercać.

Nasz pracowity i zdolny, a biedny człowiek patrzy przez granice i słucha, skąd dochodzą go gromkie głosy wielkich reformatorów świata. Ich abstrakcyjne hasła, wizje fanatyków porównuje z dzisiejszym dniem swego życia. Coraz więcej przysłania mu obraz świata mgławica tych obu przewrotów. Coraz mniej zdaje sobie z tego sprawę, że poza temi dwoma obszarami, ogarniętemi pożarem fanatyzmu, żyją, pracują, myślą, radują się duchem i materją niezliczone nacje starej i młodej kultury, że jest wśród nich Francja i W. Brytanja, Stany Zjednoczone, jest Skandynawia i Holandja i Belgja i Szwajcarja, że wszystko to, liżąc się z ran wojennych, umacnia fundamenty państwa, buduje wolność, demokracje i dobrobyt, zgodne jest w dążeniu do uchylenia grozy wojny i przewrotu, świeżej krwi i krzywdy ludzkiej.

Nie wiemy, co przedstawiciele nasi urzędowi, którzy stamtąd wracają, przywożą w swoim bagażu politycznym. Nie mówi się o aktach dyplomatycznych i finansowych promesach. Szkoda, że równie mało jest dostępny obfity chyba zapas spostrzeżeń, wrażeń i refleksyj. Wskazanem bowiem, wręcz pilnem i nieodzownem jest o tem Polsce całej mówić. Radzibyśmy wszyscy słuchać jak pracuje i jak rządzi się *tamten* świat, chcemy idee przewrotu, wciskające się przez szpary obu ścian domu, i własne niedomagania nasze konfrontować w świetle dyskusji z metodami, któremi inni potrafią wolność i sprawiedliwość społeczną powiązać z wzrostem siły zewnętrznej i wewnętrznej swoich państw. Pobratymstwo metod pracy, zasad i form życia zdawien dawna zespalało Polskę z tamtym światem i wyżłobiło przez wieki współżycia łożysko, którem niezmiennie toczy się prąd polityki zagranicznej. Słuchając o tem, będziemy mieli lepsze i przyjemniejsze dzisiaj, a spokojniejsi będziemy o jutro.

K. B.

Z 7 dni

Bardzo dobrą anegdotę przytacza I l. K u r j e r C o d z i e n n y. Wprawdzie historyjka opowiada o Ameryce, ale zadedykować ją śmiało można wszystkim byłym i teraźniejszym ministrom skarbu w Polsce.

Emerytowany redaktor pewnego dziennika w małem miasteczku w Stanach Zjednoczonych chwalił się raz przed znajomymi, że potrafił zaoszczędzić i odłożyć w ciągu swego życia 100 tysięcy dolarów. Oświadczenie to przyjęto z niedowierzaniem.

— Czyżby zawód redaktora w małem prowincjonalnem miasteczku był aż tak lukratywny? — zapytał jeden z niedowiarków.

— Pracowałem przez 40 lat bez wytchnienia — odpowiedział na to redaktor — a moją dewizą było: oszczędzać i tylko oszczędzać. Nie wydawałem ani centa na przyjemności, nie zaciągałem długów, nie kupowałem nic na raty i w ten sposób po upływie 40 lat dzięki mojej oszczędności oraz dzięki starej kochanej ciotce, która umierając, pozostawiła mi w spadku 999.999 dolarów — jestem obecnie posiadaczem 100.000 dolarów.

*

Na zeszłej sesji senatu senator Sieroszewski bronił Berezy z zapałem i fachowo. Na obecnej sesji senatorka Fleszarowa zaatakowała Berezę, opowiadając jak to ludzie „siedzą tam po dwadzieścia kilka miesięcy, bici i poniżani”. Dobry duet powstałby z tych dwu arji solowych, (arja męska trudniejsza), tembardziej, że zespół jest zgrany. Jednakże dla ogółu byłaby bardziej zajmująca informacja, czy to są głosy waśni rodzinnej przy działach spadkowych, czy nucenie szlagierów sezonowych, czy też na końcu głos — sumienia.

*

Również w senacie konserwatysta Rostworowski zaatakował rząd w stylu menuetowym. Premjer wyjaśnień udzielił i zaproponował „sztamę”. Dystyngowany senator zapewne nie zrozumiał wyrażenia, przeto natychmiast bił brawo i zgodził się z premjerem. To się nazywa dobrze wychowana burza parlamentarna.

*

Nawet pełne gracji piruety, półukłony i uśmiechy domyślne mogą się wkońcu znudzić. Zaproponujemy inną zabawę. Niech panowie posłowie i senatorowie zainteresują się, naprzykład, kosztami propagandowemi pożyczek państwowych. Coś nam się zdaje, że zabawa stanie się żywsza, że menuet przejdzie w galopkę.

ADAM ORDĘGA.

Obecne dążenia Janusza Jędrzejewicza

W poprzednim artykule scharakteryzowaliśmy koncepcje ideologiczne reformatorów szkolnictwa, wyrażające się w hasłach „wychowania państwowego" wówczas, gdy u steru szkolnictwa stali bracia Jędrzejewicze. Dziś chcemy przedstawić czytelnikom profil grupy „Zrębu" i jej ustosunkowanie się do obecnego ministra oświaty prof. Świętosławskiego. Leży przed nami artykuł b. premiera Janusza Jędrzejewicza p. t. „Nowa deklaracja grupy *Zrębu*", ogłoszony w 26 tomie czasopisma *Zrąb* za rok 1936.

Artykuł godny uwagi wszystkich, którzy się interesują zagadnieniami oświatowemi. Jest on bowiem próbą zepchnięcia odpowiedzialności za obecny katastrofalny stan szkolnictwa z braci Jędrzejewiczów na marszałka Piłsudskiego. Powtóre daje miarę tupetu i megalomanji grabarza polskiej kultury, który pozbawiony krzty autokrytycyzmu śmie, dziś, gdy cała opinja publiczna potępiła jednogłośnie jego reformy szkolne, reklamować swe dzieło. Odsłania ów artykuł wreszcie — w zestawieniu z innemi faktami doby ostatniej — krecią, podziemną robotę grupy *Zrębu*, zmierzającą do petryfikacji reform szkolnych, — obnaża zakusy tych, którzy nielojalnie usiłują poderwać wysiłki obecnego ministra oświaty, wykonywującego najniewdzięczniejszą pracę usuwania i naprawy szkód popełnionych przez poprzednika.

Chcąc czytelników zapoznać możliwie najdokładniej z obecnemi dążeniami grupy *Zrębu*, pozwolimy sobie przytoczyć przydługie może cytaty z artykułu Janusza Jędrzejewicza w przekonaniu, że wymowa ich jest tak silna, iż czyni zbędnym właściwie wszelki komentarz. Oto z jaką skromnością ocenia reformator swe zasługi:

> „Zostały gruntownie zmienione ramy szkolnictwa w całej jego rozciągłości, został zapoczątkowany szereg inicjatyw w dziedzinie kultury o trwałem, nieprzemijającem znaczeniu. ...przeprowadzony został szereg zasadniczych reform, stanowiących nasz własny polski dorobek niezapożyczony u obcych, dostosowany do naszych warunków życia, a mający na celu samodzielny rozwój naszej bogatej kultury narodowej".

By nie było najmniejszej już wątpliwości, kto jest ojcem duchowym tak pożytecznej instytucji, jaką jest dla naszego życia kulturalnego Polska Akademja Literatury, J. Jędrzejewicz stwierdza, że była ona „tak oczywiście potrzebna, tak bezsporna".

Dla przyszłych zaś historyków polskiego szkolnictwa b. premjer zostawia bezcenną i najbardziej autorytatywną wskazówkę, że cała reforma szkolnictwa jest wyłącznie i tylko dziełem grupy *Zrębu*. Gdy:

> „...przez nią zostały przemyślane podstawowe wytyczne nowego prądu wychowawczego, znane pod nazwą wychowania obywatelskiego lub państwowego, przy jej pomocy żywej i pełnej ofiarności nastąpiła przebudowa naszego szkolnictwa, setki naszych przyjaciół wzięło najczynniejszy udział w opracowywaniu nowych programów szkolnych, jednem słowem byliśmy napewno jako ludzki zespół jednym z najistotniejszych elementów frontu walki o polską kulturę i w walce tej najbardziej decydującą odegraliśmy rolę".

Poczem dalej z rozbrajającą szczerością, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, jak ta szczerość dobrze charakteryzuje jego „pion" umysłowy, wyznaje, że grupa *Zrębu*, dopóki żył Marszałek Piłsudski, obywała się bez ideologji.

> „Dopóki żył marsz. Piłsudski, dopóki istniały jego rządy, wszelką deklarację na dobrą sprawę mogło zastąpić całkowicie wypowiedzenie się po Jego stronie w walce, która się o duszę polską, o dalsze dzieje Polski toczyła. Dziś rzeczy wyglądają zupełnie inaczej. Wielki Marszałek odszedł od nas nazawsze—Rząd, choćby się składał z najbardziej oddanych Mu, najlepszą ożywionych wolą ludzi — już nie może być rządem Marszałka Piłsudskiego. A ideologja? t. zw. ideologja Marszałka?
>
> Marszałek sam stanowił ideologję, sam był jej żywym wyrazem; realizowała się ona w Jego twórczej myśli, w Jego władczej woli, w całej Jego wobec rzeczywistości postawie. Po Jego zgonie spadek ideowy pozostał olbrzymi, ale autentyczna Jego interpretacja zawsze będzie wątpliwa, bo twórcy już niema, a najwierniejsi jego uczniowie i współpracownicy nieomylni w wykładzie Jego nauki oczywiście być nie mogą".

Do czego jednak w praktyce prowadzi takie zasłanianie się ideologją zmarłego, dowodzą najlepiej dalsze słowa Janusza Jędrzejewicza, usiłujące zepchnąć odpowiedzialność za reformę szkolną na Marszałka Piłsudskiego. Pan Jędrzejewicz pisze bowiem dosłownie:

> „Twierdzimy, że reorganizacja naszego ustroju szkolnego jest trwałym i zasadniczym dorobkiem rządów Marszałka Piłsudskiego. I to nietylko dlatego, że obie ustawy były szczegółowo Marszałkowi referowane i uzyskały całkowicie placet z Jego strony, ale dlatego również, że wynikały one istotnie i głęboko z ducha całej pracy Marszałka, były wyrazem na odcinku wychowawczym Jego wielkiej polskiej myśli państwowej, wprowadzały ład i porządek w sprawach organizacyjnych, wyraźnie ustalały i rozgraniczały odpowiedzialność, do czego jak wiadomo, Marszałek zawsze przywiązywał specjalną wagę. Wreszcie w jednolity sposób ujmowały całość szkolnictwa, czyniąc je instytucją w swej całości istotnie z najlepszego ducha demokracji płynącą, z tego ducha, który Marszałek, jak nikt głęboko i gorąco rozumiał".

Takiego postawienia sprawy przez Janusza Jędrzejewicza niepodobna inaczej nazwać, jak tchórzostwem i ucieczką od odpowiedzialności. Wszyscy ideowi piłsudczycy winni jaknajgoręcej zaprotestować przeciwko temu, by Janusz Jędrzejewicz mógł publicznie spychać z siebie odpowiedzialność na barki nieżyjącego wodza, zaś na otoczeniu Józefa Piłsudskiego i na ministrach ówczesnego rządu ciąży obowiązek stwierdzenia, ile prawdy i fałszu mieści się w wywodach Janusza Jędrzejewicza. Nas ten wybieg Janusza Jędrzejewicza, tak wymownie charakteryzujący wysoką jego „morale" i „imponderabilia", o które walczył Marszałek Piłsudski, nie zwiedzie. Dla opinji niezależnej jest pewnikiem niezbitym, że za reformę szkolną odpowiada Janusz Jędrzejewicz, jako jej twórca, Wacław Jędrzejewicz, jako jej wykonawca, następnie szara eminencja wszystkich ministrów oświaty w dobie pomajowej i motor ustawy na terenie sejmu — Juljusz Smulikowski (którego deprawującemu wpływowi na nauczycielstwo szkół powszechnych warto poświęcić osobny artykuł), wreszcie, grupa *Zrębu*.

Dziś ta grupa jest w poszukiwaniu ideologji. Szukając jej, zwraca się ku konstytucji z 23 kwietnia 1935 roku.

> „W treści swych dążeń wychowawczych grupa „Zrębu" opiera się o wskazania dekalogu konstytucji z dn. 23 kwietnia 1935 r., która zawiera zasadnicze wytyczne ideologji państwowej oraz stanowi niewątpliwy testament ideowy Marszałka Piłsudskiego. Dekalog konstytucyjny, pod którym wielki Marszałek położył jeden ze swych ostatnich podpisów, jest dla nas bezcennym wprost skarbem, wytyczającym kierunek rozwoju Polski i w pewnym stopniu ustalającym ogólne metody pracy wychowawczo - państwowej".

W ten sposób konstytucja i na jej podstawie wyłoniony sejm znalazł niespodziewanie swego obrońcę w Jędrzejewiczu. To, czego dziś nie bronią już ani konserwatyści, ani naprawiacze, znalazło swego entuzjastę w „premjerze kulturalnym". Pan Sławek może pogratulować sobie komilitona!

Możnaby zbyć żartem tę obronę konstytucji przez reformatora szkolnictwa, gdyby nie dalsze jego wywody, które jawnie wskazują, że grupa *Zrębu* pragnie odegrać rolę dywersyjną wobec dzisiejszego ministra oświaty. Oto bowiem jak przywódca grupy określa konkretne plany i zamierzenia na chwilę bieżącą:

> „Grupa „Zrębu" po pierwszej fazie prac nad inicjowaniem i przeprowadzaniem reformy szkolnej od przedszkoli poprzez szkołę powszechną i średnią aż do uczelni akademickich, pragnie uczestniczyć nadal w realizacji tego dzieła, stanowiącego trwały i zasadniczy dorobek rządów Marszałka Piłsudskiego. W szczególności grupa „Zrębu" dążyć będzie do tego, aby zarówno w organizacji szkolnictwa, jak i w programach i w praktyce życia szkolnego wytyczne polityki wychowawczej, zawarte w literze i duchu Ustaw Szkolnych z dnia 11 marca 1932 o ustroju szkolnictwa i z dnia 15 marca 1933 o szkołach akademickich były celowo i umiejętnie realizowane.. Grupa „Zrębu" deklaruje, że w pracy tej pragnie w miarę swych sił i możliwości wziąć jaknajwyższy udział".

I teraz Janusz Jędrzejewicz, jakby sobie nagle przypominając, że istnieją przecież jednak jakieś zastrzeżenia co do jego poczynań na uniwersytetach, zapewnia nas, że:

> „ustawy szkolne, w szczególności zaś ustawa o szkołach akademickich spotkały się ze sprzeciwem ludzi skądinąd politycznie niezaangażowanych, a'e żyjących dotychczas w atmosferze tego kulturalnego liberalizmu, który był charakterystyczny dla lat przedwojennych. I pod sugestją obaw zduszenia przez państwo autonomji myśli naukowej, swobody nauki i nauczania — sugestją, umiejętnie podsycaną przez opozycję prawą i lewą, zorganizowany został szeroki front przeciwustawowy — wśród którego część profesorów szkół wyższych dość znaczną odgrywała rolę.

Wolność nauki i nauczania w żadnej mierze na szwank narażona nie jest, natomiast zarówno kierunek wychowawczy, jak i sprawy organizacyjno - administracyjne, jak wreszcie odpowiedzialność za kierowanie szkolnictwem na właściwym gruncie zostały postawione. Zapewne, ustalenie tego, co w szkolnictwie jest rzeczą najważniejszą, dobrego obyczaju szkolnego, zajmie jeszcze dość dużo czasu".

Rzeczywiście, „wolność nauki w żadnej mierze narażoną nie została" — tylko 53 katedry zostały zlikwidowane, — rzeczywiście, „kierunek wychowawczy na właściwym gruncie został postawiony" — najlepszym tego dowodem pupile p. Jędrzejewicza z *Legjonu Młodych*. A że „ustalenie dobrego obyczaju szkolnego zajmie dość jeszcze czasu", w tem zgadzamy się z p. Jędrzejewiczem, pamiętając choćby o ostatnich zajściach na uniwersytetach.

Zacytowane wywody możnaby zlekceważyć i przejść nad nimi spokojnie do porządku dziennego, gdyby nie pewne równoczesne fakty, które jasno wskazują, że grupa *Zrębu* usiłuje przejść dziś do ofenzywy, chce odegrać się w opinji. Wszak artykuł ten stanowi wyraźną pogróżkę pod adresem obecnego ministra oświaty na wypadek, gdyby usiłował zmienić w czemkolwiek reformy szkolne. Równocześnie na ostatniem posiedzeniu Państwowej Rady Oświecenia Publicznego wystąpił Janusz Jędrzejewicz z ostrą krytyką poczynań ministra Świętosławskiego, a senat — zdaje się przy wydatnej pomocy pana Prystora — wybrał go na prezesa komisji oświatowej. Wszystko to wskazuje, że grupa *Zrębu* zaczyna rzucać kłody pod nogi obecnemu ministrowi oświaty. Jest to dywersja tego samego typu, co intrygi grupy pułkowników z Kozłowskim i Sławkiem na czele przeciw ministrowi Kwiatkowskiemu. Jędrzejewicz jest w o tyle lepszej dla siebie sytuacji, że, wśród podległego ministrowi oświaty aparatu administracyjnego, jest wielu jego adherentów, którzy znaleźli się tam tylko dzięki przynależności do *Zrębu*.

Machinacje *Zrębu* powinny otworzyć prof. Świętosławskiemu oczy na to, jaką bronią walczy z nim jego poprzednik. Winno to także stać się hasłem do ostatecznej likwidacji „jędrzejewiczyzny". Nietylko my ją dziś potępiamy, potępia ją wspólny front opinji publicznej z konserwatystami i naprawiaczami włącznie. Nie ośmiela się dziś bronić jej nawet *Gazeta Polska*. Czas dojrzał. Trzeba zlikwidować biura personalne w ministerstwie i kuratorjach. Trzeba ujawnić, za czyje fundusze dyspozycyjne i poco wogóle wychodzi dziś jeszcze organ Jędrzejewiczów *Zrąb*. Trzeba zerwać z polityką kulturalną „jędrzejewiczyzny", wyrażającą się w popieraniu PAL'a i Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej. Trzeba wysnuć stąd wnioski personalne. Jak długo jeszcze będzie tkwić w gmachu przy Alei Szucha p. Zawistowski, ów opiekun PAL-a i twórca nagród literackich w rodzaju ostatniego odznaczenia Kołonieckiego. Trzeba wreszcie — i to najważniejsze — naprawić realnie, a nie w formie deszczu orderowego, szczerby poczynione w szkołach akademickich. Trzeba przywrócić zlikwidowane katedry w uniwersytetach. Trzeba zerwać odważnie z kontynuowaniem reform w szkolnictwie średniem. Bo polityka półśrodków i zwlekania ośmielać zaczyna znów grupę *Zrębu*. Czyż zabraknie odwagi do likwidacji ostatecznej tych grabarzy polskiej oświaty z ery braci Jędrzejewiczów?

Przypomnienia...

LARGICJE.

(k). Jest sesja budżetowa. Choć mało zainteresowania wzbudza ona dzisiaj w kraju, chcemy być i w przypomnieniach aktualni. Grzebiemy się zatem w budżetach dawnej Rzplitej. Trafiamy na jakieś „*Scriptum ad archivum*" 1703 roku, tajną skarbowo - wojskową ustawę sejmową z groźnego dziejowego momentu. Jakżeż odległe te czasy saskie! Polska była wtedy najechana przez Szwedów. Bez wojska, które dopiero zamierzała na stopę wojenną postawić. Bezbronna. Ze skarbem pustym. Z gospodarką państwową w rozkładzie i ruinie.

Jakoś, na papierze bodaj, zapewniono środki na „wojsko aukcjonalne". Z „hyberny", obciążając dobra królewskie i duchowne, stworzono fundusz na aukcję wojska koronnego, około 2.7 miljona. A że artylerji nie było (Szwedzi zabrali), fundusz zaś na artylerję stały z t. zw. nowej kwarty wynosił raptem około 130.000 zł., przeto z wielkim wysiłkiem stworzono na ten cel specjalny, jakbyśmy dziś powiedzieli, „fundusz obrony narodowej", nie ze składek coprawda, ale z podatku generalnego „*ultimae consumentiae*", w wysokości złotych stu tysięcy. Śmieszne to sumy (choć działa odlewano wtedy w Kamieńcu i w Samsonowie i dobrze i niedrogo). Ale i biedny, zrujnowany kraj, niezdolny po poprzedniem półwieczu wojen przyjść do siebie, a już nawiedzony nową.

Tylko, że w zestawieniu z tym „funduszem obrony narodowej" (ach ten anachronizm), uderzają w „skrypcie" inne pozycje. „Na buławy", to jest dla hetmanów: 100.000 złotych w Koronie (i tyleż na Litwie) płacy „ordynaryjnej". Razem wydać ma Rzplita rocznie na czterech dygnitarzy złotych dwieście tysięcy. Trochę zaczyna w głowie się mącić... Czy nie byłoby najprostszem, by ci dygnitarze „*pro hac vice*" obie te sumy oddali na cehhauzy i działa? By zrobili gest? Albo też — by (oszczędzając im gestu) zredukowano im płacę, na owe czasy olbrzymią?

Ale poza pozycją „na buławy" interesuje nas inna jeszcze: „na largicje wojskowe", tamtej równa.

Cóż to są „largicje"? Po dzisiejszemu możnaby to wyrazić: nagrody, gratyfikacje, remuneracje, zapomogi. Albo krócej podarunki z grosza publicznego. Potężna to była, jak widzimy, za saskich czasów pozycja, ten fundusz hetmańskiej hojności. Funduszowi na artylerję równa. I jak tamta suma „na buławy" nietykalna. Nawet wtedy, gdy waliło się państwo.

Kiedyś, dawniej, mniejsze bywały te sumy na largicje. Szły zato na pomoc jeńcom, wdowom, sierotom, rannym, inwalidom. Z czasem wyrosły i to w dobie największej ruiny materjalnej państwa i wojska. Szły teraz głównie do dygnitarskich kieszeni, parcelowane między możnych pasorzytów i drapieżców. Taką była ewolucja budżetów polskich i ich wykonania w dobie szybkiego staczania się na dno. Na dno, z którego nie zdołaliśmy się, mimo największych wysiłków, w porę wydobyć.

„Lecz pocóż dawne przypominać wieki..."

Rzecz, zapewne, zbędna zupełnie. Zapewne (nie pamiętamy dokładnie) w dobie ciężkiego u nas kryzysu zredukowano przed paru laty pensje dygnitarskie. Zapewne postarano się o to, by ogromne ofiary, ponoszone przez kraj na utrzymanie rozrosłej potężnie machiny państwowej były jaknajcelowiej zużytkowane. Zapewne zniesiono wszelkie rozdarowywanie grosza publicznego, wszelkie, we wszelkich dziedzinach „largicje". Bo przecież w warunkach naszych, gdy na równowagę budżetu i dozbrojenie oddaje naród dosłownie grosz wdowi, każda „largicja" paliłaby kieszeń dygnitarza, cechowałaby jego czoło, jak rozpalonem żelazem. I niewątpliwie wysokie nasze „stany sejmujące" (ach ten anachronizm), stwierdziłyby każdy taki fakt, podniosły sprzeciw, rzecz uniemożliwiły na przyszłość. Bo przecież jesteśmy od czasów saskich, od dna upadku — dalecy. Z ufnością przeto rzecz niniejszą o largicjach składamy (tak na wszelki wypadek) w gmachu na ul. Wiejskiej — do marszałkowskiej laski.

Nowy wynalazek

Krakowski „Głos Narodu" w numerze z dn. 6.XII, a prawdopodobnie i inne pisma przyniosły wiadomość o zamierzonem przez Ministerstwo Skarbu zaostrzeniu kontroli skarbowej, polegającem na zorganizowaniu lotnych posterunków wywiadowczych, które przez nawiązywanie przygodnych rozmów w pociągach, na dworcach, na targach, jarmarkach, w karczmach i gdzie się tylko da, inaczej mówiąc, przez „ciągnięcie ludzi za język" dowiadywać się mają o stanie majątkowym różnych obywateli, celem skonstatowania, czy ich dochody zgodne są ze złożonemi zeznaniami podatkowemi.

Pomysł zaiste genjalny, żałować jedynie należy, że tak późno zostaje wprowadzony w życie. Gdyby się to wcześniej stało, to kto wie, czy p. Krzysztoforski, p. Parylewiczowa i wielu, wielu innych nie wygadałoby się przed takim „wywiadowcą", skąd czerpią swe dochody? Lecz w każdym razie lepiej późno, niż wcale, jednakże obowiązkiem każdego lojalnego obywatela jest zwrócenie uwagi pp. „wynalazcom", że posterunki na jarmarkach, targach i w karczmach nie są celowe. Któż może zatajać swe dochody? Ten oczywiście, który ma ich dużo, a taki pan właśnie rzadko osobiście czyni zakupy na targu, czy na jarmarku, a w karczmie znaleźć się może jedynie w tym wypadku, gdy w pobliżu tej karczmy nawali kicha na jego Rolls - Roysie, czy Bugattim.

O wiele celowszem byłoby uplasowanie posterunków „wywiadowczych" w eleganckich restauracjach, (zwłaszcza w gabinetach), na dancingach, w teatrach, nb. w pierwszych rzędach krzeseł i lożach pierwszego piętra, w najdroższych sklepach gastronomicznych z towarami jak kawior, kosztowne ryby i inne smakołyki, w renomowanych handlach win, w salonach samochodowych, wreszcie w sklepach jubilerskich. Nieocenione usługi mogliby oddać subjekci i ekspedjenci tego rodzaju firm, oczywiście, odpowiednio wynagradzani.

Niewiadomo tylko, czy budżet nasz przewidział fundusz na opłacenie tej nowej organizacji, która musi być dosyć kosztowną, aby być celową, bo wszak p. „wywiadowca", nawiązując przygodną rozmowę z osobnikiem bogatym, a zatajającym swe dochody, musi się do niego zewnętrznie upodobnić, musi sam posiadać kosztowne futro, złotą papierośnicę, z której mógłby poczęstować osobnika „ciągnionego za język"

Wynalazek ten ma jeszcze jedną dobrą stronę, stwarza bowiem nowe źródło pracy dla bezrobocych inteligentów.

Słowem, nie należy opuszczać rąk w tych ciężkich czasach. Otwierają się perspektywy pracy zaiste lekkiej i dochodowej. Niewdzięczne społeczeństwo powinno nakońcu docenić zaradczą i skuteczną opiekę biurokracji. Nowe kartoteki, nowe raporty, nowe fundusze, nowe posady i wpływy...

W. Ład.

IRENA PANNENKOWA.

Metoda „Drogi Panie"

Jestto metoda niewątpliwie arcy - polska. Delikatniejsza odmiana owego bardziej powszechnego systemu: czapką i papką, solą i rolą ludzi niewolą. Bardziej pokrewna takim np. hasłom jak: „Kochajmy się, nie dajmy się!... Albośmy to tacy jacy, jacy tacy... Zgoda, zgoda, miły bracie... Unieśmiertelnionym przez Mickiewicza we frasobliwem nawoływaniu Bartka Brzytewki: „Tylko ty Maćku z rózgą, ty Maćku z maczugą, tylko zgódźcie się!"... Czy też, biorąc rzecz z innego końca: „Dla mnie szabla, tobie kij, teraz ty się ze mną bij!" Albo: teraz ty się ze mną „zgódź" — to zależy od interpretacji...

Najsubtelniejsza i zarazem najbardziej dobroduszna jest jednak metoda: drogi panie! Apeluje do dobrego serca polskiego, ukrytego pod pozorami narzuconych form sztywnych i rzekomo niezłomnych. Bywa niezawodna i — w niektórych sytuacjach — przyznać trzeba, staje się istotnie ostatnią, jedyną deską ratunku. Np. wobec tej najpotworniejszej *zapory* życiowej, jaką stała się u nas jedyna rzecz „rozbudowana" naprawdę potężnie: *biurokracja*. Kiedy bezduszny, ślepy i głuchy, a wszechwładny paragraf albo — samowola urzędnicza — stanie wpoprzek logice, zdrowemu sensowi i najistotniejszym koniecznościom życiowym... Wtedy — nie szamocz się, nie wpadaj w rozpacz, nie złorzecz! Wręcz przeciwnie: Pohamuj się, uzbrój się w maximum optymizmu, uśmiechnij się najżyczliwiej, jak umiesz ,i rzeknij najsłodszym, na jaki cię stać, głosem: *Panie drogi!* Daj poznać, że wierzysz w bezgraniczną wspaniałomyślność i wielkoduszność danego „pana", zaapeluj do jego serca. Wówczas w sytuacjach normalnych, o ile działasz w cztery oczy, może się stać ta rzecz nieprawdopodobna a jednak czasem prawdziwa, że paragraf zmięknie, że biurokrata ustąpi.

Bywa gorzej. Bywa, że metodę: Drogi Panie! stosuje się wbrew logice, wbrew prawu i wbrew koniecznościom życiowym. I także się wygrywa. Może nawet częściej, niż w wypadkach przeciwnych.

Umieją to robić kobiety. „Pan mówi, że dwa razy dwa jest cztery? A jabym tak chciała, żeby w tym wypadku było pięć! *Drogi panie,* cóż panu na tem zależy?" „Drogiemu panu" w danej sytuacji zależy istotnie na tem jedynie, żeby być „ drogim panem". Więc niech sobie będzie i pięć. Co go to obchodzi?...

Metodę „drogi panie" trzeba stosować śmiało i bezwzględnie. Oszołomić przeciwnika. Walić prosto z mostu, tak jak się wali w łeb tonącego, kiedy go się chce wyratować, albo — kiedy się właśnie nie chce, żeby się wyratował... Jak widać, jestto metoda typowo obosieczna.

Stosuje się ją z niezłym skutkiem także i w polityce. W Polsce ma swoje tradycje. „Drogi waszmość panie!" mówił magnat do szaraczka, klepiąc go po ramieniu, gdy chciał mieć jego kreskę na sejmie. I szaraczek, oszołomiony taką łaską pańską, dawał mu kreskę, chociaż właściwie chciał votować wręcz przeciwnie.

Metodą „drogi panie" imć pan Zagłoba skruszył, zmiękczył i wkońcu owinął sobie dookoła palca, takiego twardego, zdawałoby się ,oficera, jakim był p. Roch Kowalski. I z groźnego wroga uczynił sobie adlatusa, ba, „siostrzana"! Tąż samą metodą książę Janusz Radziwiłł (ten z XVII wieku) oszołomił i omotał nie byle kogo, bo samego Kmicica. I byłby go na sznureczku za sobą prowadził aż do końca, gdyby nie taki... narowisty był jednak z tego Kmicica „kawaler"...

I oto, najniespodziewaniej, (może nawet dla siebie samego?) mistrzem w metodzie „drogi panie" okazał się dzisiaj nasz p. premjer, gen. Sławoj - Składkowski. Zarówno w starciu z p. Pochmarskim, jak ze stokroć silniejszym, zdawałoby się, przeciwnikiem, hr. Wojciechem Roztworowskim, czyli pośrednio, i z ks. Januszem Radziwiłłem (z XX-go wieku). Oklaski jakie otrzymał po starciu od Izby, w której obronie stawał właśnie p. Roztworowski, to chyba szczyt możliwy tryumfu... metody.

Swoją drogą, rzecz to godna uwagi. Dawniej, tacy statyści, jak Radziwiłł, tacy mistrzowie forteli, jak Zagłoba, oszołamiali i pokonywali tą sztuką twardych prostodusznych żołnierzy. Dziś — wręcz przeciwnie.

Ano, drogi panie, — Nemezis!...

Kronika ekonomiczna

PRELIMINARZ BUDŻETOWY NA R. 1937/38.

(st) Preliminarz budżetowy na r. 1937/38, wniesiony do sejmu w końcu listopada, jest niewątpliwie lepszy od budżetów poprzednich pod tym względem, że jest dużo realniejszy: w szczególności dochody z przedsiębiorstw, które dotychczas preliminowane były w sposób dość dowolny, zostały sprowadzone do norm, zbliżonych do rzeczywistości. Tak np. na bieżący rok budżetowy preliminowano dochód z kolei w wysokości 76 milj. zł., gdy wpływy rzeczywiste w poprzednim roku budżetowym wyniosły zaledwie 10 milj. zł.; wpływy z poczty preliminowano na bież. rok budż. w wysokości 40 milj. zł., gdy w poprzednim roku budż. wyniosły 22 milj. zł. Oczywiście, preliminowane na rok bież. wpływy całkowicie w tej wysokości zawiodły i gdyby nie wzrost wpływów z innych źródeł, kiepsko wyglądałaby równowaga budżetowa. Nawiasem mówiąc, bardzo mizernie wygląda w świetle tych liczb gospodarka naszych przedsiębiorstw państwowych. Na przyszły rok budż. preliminarz budżetowy jest w tym dziale znacznie skromniejszy: przewiduje wpływy z kolei w wysokości 24 milj. zł. i z poczty — również 24 milj. zł. Znaczny bardzo wzrost wpływów przewiduje się w lasach państwowych, a to w związku z poprawą konjunktury na rynku drzewnym, co lasy państwowe wykorzystują z całą bezwzględnością, nie oglądając się na deklamację urzędową na temat pożytku niskich cen, zwłaszcza na surowce.

W liczbach globalnych preliminarz budżetowy na r. 1937/38 przewiduje wpływy w wysokości 2.294 milj. zł. — co stanowi wzrost w stosunku do budżetu na r. 1936/37 o ca 73 milj. zł. — i wydatki w wysokości 2.293 milj. zł. — t. j. również o ca 73 milj. zł. więcej niż w bież. roku budż. Przewidywana nadwyżka jest nieco mniejsza, niżby z tych zaokrąglonych liczb wynikało, wynosi mianowicie 318 tys. zł.

Zwyżka budżetu po obydwóch stronach o ca 73 milj. zł. wydaje się z pozoru bardzo niewielka, nie zasługująca na bliższą uwagę. W gruncie rzeczy jednak sprawa przedstawia się nieco inaczej. Jeśli mianowicie uwzględnimy, że dochody z przedsiębiorstw zmniejszone są w preliminarzu w porównaniu z budżetem na rok bieżący o 59 milj. zł., a dochody administracji o 20 milj. zł., to okaże się że dochody z danin publicznych i monopoli (które są w rzeczywistości specyficzną formą podatków pośrednich) zwiększono o 152 milj. zł. Ponieważ zaś ta grupa dochodów budżetowych preliminowana była na bież. rok budż. w wysokości 1.770 milj. zł., wzrost w preliminarzu na rok przyszły stanowi 8,5%. A to jest bardzo dużo.

Gdy więc zastanawiamy się nad bardzo ważnym pytaniem, czy skarb eksploatuje lekką poprawę konjunktury gospodarczej, czy nie, odpowiedź wypaść musi twierdząco: istotnie, skarb eksploatuje poprawę konjunktury. Korzysta z prawdopodobnego wzrostu obrotów gospodarczych, ale nie zamierza zmniejszać stawek obciążeń. Wręcz przeciwnie, nawet w tych wypadkach, kiedy dotychczasowe prawodawstwo przewidywało ekspirowanie specjalnego podatku od wynagrodzeń, wypłacanych z funduszów publicznych, z dn. 1 grudnia 1937 r., art. 11 projektu ustawy skarbowej upoważnia ministra skarbu do przedłużenia mocy obowiązującej tego podatku o dalsze cztery miesiące, t. j. do końca roku budż. 1937/38. Z tego podatku preliminuje się wpływ w wysokości 170 milj. zł. Nie trzeba zapominać, że jednocześnie z wprowadzeniem podatku specjalnego od wynagrodzeń, wypłacanych z funduszów publicznych, podniesiony został podatek dochodowy zarówno od dochodów fundowanych jak niefundowanych. Oczywiście, o skasowaniu tej podwyżki, która była wprowadzona już bez ograniczenia czasu trwania, nikt się nawet nie zająknie.

Tak więc pomimo poprawy konjunktury w dalszym ciągu będziemy gospodarowali z wygórowanemi stawkami podatkowemi. Tłumaczy się to m. in. tym, że wszystkie poprzednie budżety, nie wyłączając ostatniego — powiedzmy objektywnie, jeszcze stosunkowo najlepszego — były układane nierealnie, zawierały jawne i niejawne deficyty (np. w postaci wypompowywania kapitałów obrotowych z monopoli państwowych). I dlatego też każde urealnienie budżetu, jakim jest np. zmniejszenie preliminowanych wpływów z przedsiębiorstw państwowych, wydobywa na jaw dziurę w budżecie, którą trzeba łatać przy pomocy zwiększonych wpływów z podatków, pośrednich czy bezpośrednich.

Strona wydatkowa budżetu nie przedstawia nic specjalnie interesującego. Wzrost wydatków ministerstwa skarbu o ca 14,5 milj. zł. tłumaczy się dopłatami skarbu z tytułu konwersji długów rolniczych. Wzrost wydatków ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego o niespełna 7,5 milj. zł. jest krępująco mały wobec niezaspokojonych potrzeb w tej dziedzinie. Obsługa długów państwowych wyniesie o 20 milj. zł. więcej niż w r. 1936/37.

Wydatki ministerstwa spraw wojskowych utrzymane zostały w niezmienionej wysokości 768 milj. zł. Nie obejmuje to, oczywiście, całości wydatków na obronę kraju, nie są tu bowiem włączone ani wpływy z Funduszu Obrony Narodowej, ani też wpływy z pożyczki francuskiej. W preliminarzu na r. 1937/38 część 6, t. j. ministerstwo spraw wojskowych, została przedstawiona tylko w liczbach ogólnych, usunięte natomiast zostały wszelkie dotychczas podawane szczegóły.

MILES.

Chmury wojenne

Najważniejszem niewątpliwie wydarzeniem ostatnich czasów jest porozumienie japońsko - niemieckie. Jest ono doniosłem posunięciem już jako akt gry dyplomatycznej, natomiast nabiera pełnego wyrazu, gdy spojrzeć nań od strony przyczepianej do tego porozumienia nadbudówki wojskowej. Słusznie bowiem, czy niesłusznie, są do tego porozumienia politycznego dołączone wiadomości o zawarciu umowy wojskowej między obu państwami.

Trzeba przyznać, że grunt do tego rodzaju pogłosek został już oddawna doskonale przygotowany. Przemawia za niemi zbieżność celów polityki wojskowej obu państw, skierowanej w zdecydowany sposób przeciw Związkowi Sowietów i niejednokrotnie akcentowana w rozmowach przedstawicieli ich armji. Przemawiają także dość częste wizyty delegatów armji japońskiej w Niemczech, zawsze łączone z konkretnemi rozmowami sztabów generalnych. Oczywiście nie trudno się domyśleć, że tematem tego rodzaju rozmów fachowców wojskowych może być tylko współpraca bojowa obu armji. Dotąd brakowało podkładu politycznego dla tych rozmów; ostatnio porozumienie usunęło ten brak. Nie można więc dziwić się, że wiadomość o zawarciu umowy japońsko - niemieckiej wywołała wrażenie o wiele większe, niż inne porozumienia polityczne.

Idąc dalej po linji przypuszczeń co do wojskowych konsekwencyj umowy japońsko-niemieckiej, nietrudno dojść, że przedmiotem ich może być tylko ewentualny zatarg zbrojny z Sowietami. Japonja właściwie już od szeregu lat znajduje się w tak naprężonych stosunkach ze Związkiem Sowietów, że ciągle można oczekiwać rozpoczęcia działań wojennych na Dalekim Wschodzie. Stan zapalny na pograniczu sowiecko - mandżurskiem przeciąga się tak długo, że grozi przejściem w stan chroniczny. Oddawna spodziewano się tam wejścia wypadków w fazę rozstrzygającą, tembardziej, że w początkowej fazie wybuchu sporów na Dalekim Wschodzie, Japonja posiadała wyraźną przewagę siły nad Sowietami.

Czas jednak pracował zdecydowanie na niekorzyść Japonji. Przygotowania wojenne Sowietów na Dalekim Wschodzie poszły o wiele szybciej, niż przygotowania japońskie. Według wielokrotnych oświadczeń członków rządu sowieckiego, należy uważać je za zakończone w swej pierwszej fazie. Sowiety uważają, że dziś są gotowe do rozpoczęcia działań wojennych przeciw wojskom mandżursko - japońskim, z dużemi szansami na osiągnięcie w tych działaniach przewagi.

Ze swej strony Japonja ciągle jeszcze nie zakończyła swego dozbrojenia. Dość usilnie dowodzono, że nastąpi to w ciągu 1936 roku, tymczasem wewnętrzne wypadki, zaszłe w Japonji na początku bieżącego roku, świadczą, że zakończenie wojennych przygotowań Japonji jest jeszcze odległe. W tym stanie rzeczy ewentualna czynna pomoc Niemiec w wojnie japońsko - sowieckiej może być bardzo cenną dla państwa Mikada.

Niemcy zaś oddawna już głośno mówią o swem wrogiem nastawieniu do Sowietów. Że zaś przygotowania wojenne Niemiec mają tempo bezkonkurencyjne i wyprzedziły napewno tempo przygotowań sowieckich, sytuacja na froncie europejskim ewentualnego zatargu z Sowietami, przedstawia się zupełnie inaczej, niż na froncie azjatyckim. Wojownicze nastawienie Niemiec w stosunku do Sowietów oddawna nie jest żadną tajemnicą, postarali się zaś o to przedewszystkiem czołowi politycy niemieccy. Często też rozważa się na zachodzie możliwość wojny niemiecko - sowieckiej.

Osobliwością tych rozważań jest okoliczność, że Niemcy nie posiadają wspólnej granicy lądowej ze Związkiem Sowietów. Przy dzisiejszym układzie stosunków międzynarodowych i pojęciu suwerenności państw, nie można wyobrazić sobie wybuchu zatargu zbrojnego w tych warunkach, bez wciągnięcia do niego państwa lub państw, sąsiadujących z posiadłościami właściwych aktorów ewentualnej wojny. Jeden rzut oka na mapę Europy mówi, komu najbardziej grożą niebezpieczeństwa realnego odczucia na sobie wszystkich ciężarów współczesnej wojny, gdyby rzeczywiście miało zrealizować się niebezpieczeństwo wojny niemiecko - sowieckiej. Nie stawiamy kropki nad „i", postawili ją już inni przed nami. Zwracamy jednak uwagę, że coraz wyraźniejsze niebezpieczeństwo chaosu wojennego, wiszące nad Europą, a zwłaszcza nad Europą wschodnią, wymaga specjalnej ostrożności ze strony państw, mogących być do zawieruchy wojennej wciągniętemi nawet bez ich woli. Pamiętać należy, że jedynym istotnym środkiem zaradczym jest tutaj ich własna siła; tylko ona może być gwarantką neutralności.

Jeżeli od dalekiego terenu powyższych rozważań przejdziemy na tereny nam bliskie, to najbliższem zagadnieniem nas interesującem będzie wniesienie pod obrady Sejmu Rzeczypospolitej projektu naszego budżetu wojskowego. Jest on utrzymany w wysokości 768 miljonów złotych, którą można nazwać wysokością sztandartową, gdyż od szeregu lat jest ona wykładnikiem naszych przygotowań wojennych. W poszczególnych latach wahania w wysokości sum wydawanych na nasze potrzeby wojenne są bardzo nieznaczne. Z niedawnej zaś kampanji *Polski Zbrojnej*, popartej energicznie przez najwyższe czynniki w państwie i, nawiasem mówiąc, niezmiernie gorąco przyjętej przez całe społeczeństwo, wiemy, że ta wysokość wydatków wojskowych wystarcza zaledwie na pokrycie bieżących potrzeb.

Dlatego też z niepokojem patrzymy na to, że nie widać dotąd zamiarów ze strony rządu przedstawienia budżetu nadzwyczajnego, na doprowadzenie stanu naszych zbrojeń do poziomu najbliższych sąsiadów. Ktoby nie wierzył własnym obserwacjom, to z łatwością mógł się przekonać ze wspomnianej wyżej kampanji *Polski Zbrojnej*, a więc organu najlepiej poinformowanego w sprawach tego rodzaju, że sfinansowanie tego rodzaju dozbrojenia, jakie jest dziś dla nas niezbędne, nie da się zamknąć w ramach nawet wydatnie podniesionego budżetu zwyczajnego. Nie można spodziewać się także, by mogło ono być dokonane w drodze dobrowolnych składek, jako źródła powstania i istnienia funduszu Obrony Narodowej. Wolelibyśmy widzieć te źródła w bardziej uchwytnej i pewniejszej w dysponowaniu, formie ustawowych obciążeń lub operacji finansowych.

Nie rozumiemy też tryumfalnego tonu w exposé sejmowem wicepremjera E. Kwiatkowskiego, gdy oświadczył on, że dostrzeżona przez niego poprawa konjunktury u nas, nie jest związana z polityką zbrojeniową, jak to widzimy gdzieindziej. Ten pogląd słuszny może z punktu widzenia teoryj ekonomicznych, jest jednak bardzo daleki od życiowego realizmu obecnej doby. Dlatego też, nawet zgadzając się ze słusznością teoretycznych przesłanek p. wicepremjera, wolelibyśmy, żeby w obecnej chwili było u nas raczej tak, jak to jest gdzieindziej, gdzie rozbudowa zbrojeń stworzyła warunki dla poprawy konjunktury gospodarczej, ale też jednocześnie stała się fundamentem stałego pogotowia wojennego.

Gdyby tak było u nas, moglibyśmy spokojniej niż dzisiaj patrzyć na chmury, gromadzące się nad Azją i wschodem Europy.

Świat pracy

TEMPORA MUTANTUR.

W związku z zapowiedzianym kongresem związków pracowników umysłowych w Warszawie, stołeczna komisja porozumiewawcza wydała odezwę, w której streszczone są postulaty świata pracy, uzgodnione na komisjach poszczególnych związków. Wysunięto w niej żądanie podwyższenia płac pracowników prywatnych, samorządowych i państwowych, likwidacji podatku specjalnego, poszanowania praw nabytych, poprawy warunków pracy i przestrzegania 40 i pół godzinnego tygodnia pracy. Odezwa wysuwa żądanie minimum płac 200 zł., maksimum 2000 zł. i zniesienia bezpłatnych praktyk w przedsiębiorstwach prywatnych i szkolnictwie. Ponadto komisja domaga się utrzymania stałości waluty, skrócenia czasu pracy bez obniżenia wynagrodzeń, uruchomienia publicznych robót inwestycyjnych dla zatrudnienia bezrobotnych.

Nie dosyć na tem. Stołeczna komisja domaga się jednocześnie zagwarantowania wolności przekonań, wolności prasy, stowarzyszeń i koalicji, przywrócenia pełnego samorządu w ubezpieczalniach społecznych oraz istotnego przedstawicielstwa warstw pracujących w ciałach ustawodawczych.

I pomyśleć, że większość związków, które takie wysuwają żądania, tak niedawno jeszcze była podstawą wpływów sanacji w sferach pracowniczych!

NĘDZA WŚRÓD CHAŁUPNIKÓW.

Do najbardziej upośledzonych i wyzyskiwanych pracowników należą chałupnicy, z tych zaś w najcięższych warunkach żyją i pracują hafciarki, które zarabiają od 80 gr. do 1 zł. dziennie. Przemysł hafciarski skoncentrowany jest w kilku miejscowościach, m. in. w Nowym Dworze pod Warszawą i w okolicach Makowa podhalańskiego.

Wobec strasznej nędzy, jaka panuje wśród hafciarek makowskich, miejscowi chałupnicy noszą się z zamiarem założenia spółdzielni. Byłoby pożądane, aby któraś z central spółdzielczych zajęła się tą sprawą i przyszła tym ludziom z pomocą.

STRAJK PRZECIW MIN. HANDLU I PRZEM.

W bekoniarni tarnowskiej wybuchł strajk, nie mający dotychczas precedensu w Polsce. Ponieważ Ministerstwo Przemysłu i Handlu cofnęło kontygent na eksport bekonów, wytwórnia w Tarnowie ma ulec likwidacji. Robotnicy, nie mogąc pogodzić się z likwidacją fabryki, postanowili zamknąć się w niej i pozostać tam dotąd, aż miarodajne czynniki zdecydują się przywrócić odebrany przydział eksportowy.

J. J.

Preteksty

Kupczęta i partacze czyli wielkie zagadnienie dla korporatystów

Czytam, że organizacja kupiecka jednego ze stołecznych miast Polski zwróciła się do władz z memorjałem, domagającym się bardziej skutecznego, niż dotąd zwalczania tej plagi, jaką dla regularnego kupiectwa, obciążonego podatkami i świadczeniami socjalnemi, zresztą i całym aparatem handlowym — są uliczni sprzedawcy, którzy żadnych kosztów pobocznych nie ponoszą. Czy kupcy regularni są naprawdę tak poważnie zagrożeni przez te mizerne kupczęta, co przed policjantem zwiewają, jak piasek nagłym wiatrem zwiany, iż memorjał ich jest usprawiedliwiony koniecznością, czy też przemawia przez nich zbytnia przed tą słabą chyba konkurencją trwoga, to tutaj nie należy; o tem przekona się kompetentna władza, jeśli przeprowadzi dochodzenia tak, jak się przeprowadza badania naukowe: dokładnie i bez żadnego z góry powziętego zamiaru. O co innego idzie: Przypuśćmy, że kupiectwu regularnemu sprzedaż uliczna niekoncesjonowana naprawdę w jakimś dość poważnym stopniu szkodzi; zapytajmy jednak: A c o z r o b i ą t a m c i? Kto czytał „Pamiętniki Bezrobotnych", wielką, straszną czarną księgę (Warszawa 1933), temu wiadomo, jak często ta biedna uliczna sprzedaż jest ostatnim ratunkiem, nawet nie ratunkiem, bo cóż to przynosi? — ale ostatnią nadzieją nędzarza, ostanią próbą, ażeby ani kraść, ani żebrać. Pamiętajcie państwo, że kupując ten papier listowy, albo ten grzebyk, albo obwarzanek, albo zapałki, nawet wtedy kupując, kiedy to wszystko nam niepotrzebne, dajecie zarobić 2, 3, 4, albo 5 groszy nieszczęsnemu dziecku lub dorosłemu człowiekowi, który z największą trudnością pożyczył sobie od kogoś dwa albo trzy złote na „kapitał zakładowy", kupił trochę tej tandety i bułkę i od rana na ulicy z zimna trzęsie się, oglądając się co chwila, czy zbliża się władza, która koncesjonowanych chroni, i ze strachem w sercu oblicza, czy zarobi choć tyle, żeby ten „w i e l k i" m a ł y d ł u g móc oddać, a w dodatku jeszcze przynieść do domu na wieczór kawałek chleba. Tam czekają dzieci, albo czekają rodzice, a tutaj trzeba stać i trzeba po sto razy na godzinę narzucać się przechodniom ze swoim lichym i śmiesznym towarem, i sto razy na godzinę ujrzeć lodowate niewidzące spojrzenie porządnego człowieka, który się nie plami kupowaniem tandety. Panowie przechodnie, panowie w futrach, panie subtelne isoty, wy wszyscy zresztą, co macie kilka zbędnych groszy, zatrzymajcie się niekiedy przy biednym człowieku, co na ulicy sprzedaje biedne rzeczy! To nie handel, ale jałmużna. Ależ tak, ale dajcie temu, co chce łudzić się, iż nie żebrze! Panie posterunkowy, jutro jeszcze raz udaj pan, że nie widzisz tych kupcząt, jak to udałeś już wczoraj, kiedy był wielki mróz! Panowie kupcy, obliczcie dobrze wasze straty z powodu tak niebezpiecznej konkurencji i obliczcie sobie, jak ma żyć człowiek, jak ma żyć rodzina, którzy nie mają ż a d n e g o dochodu?!... Społeczeństwo, zastanów się: coś dało tym ludziom, abyś miało prawo ścigać ich teraz, kiedy zdychają z głodu i ratują się jak mogą — bez koncesji?!...

Powstała wielka i ciężka k w e s t j a p a r t a c z y; boć przecie jest już cała wielka armja, napewno liczniejsza niż rejestrowani bezrobotni, armja partaczy. Nietylko kupcy, także rzemieślnicy wszelkiej branży skarżą się, że im, którzy są podatnikami i majstrami, co innym utrzymanie dają, i za nich różne świadczenia płacą — im, którzy się długo i porządnie uczyli swego fachu — że zagraża im oto z boku partactwo, nieodpowiedzialne, niewyszkolone, nieopodatkowane, nie wykupujące licencyj, nie ścigane przez ubezpieczalnię. Niesprawiedliwość. Z pewnością — niesprawiedliwość. Ale ktoby się wdał w wojnę z armją partaczy, ten m u s i p r z e g r a ć — i, co gorsza... p o w i n i e n przegrać. Musi — bo przyparci do muru ludzie głodni użyją wszelkich możliwych podstępów, aby się nie dać. P o w i n i e n — bo ci, którzy będą zmuszeni partactwa swego wyrzec się, pójdą albo na złodziei, albo na żebraków, albo będą znalezieni na dnie rzeki, lub z głową zdruzgotaną u stóp 4-piętrowej kamienicy, albo będą znalezieni trupami, u których sekcja wykaże śmierć z głodu. Dopóki są czasy bezrobocia, dopóki społeczeństwom nie uda się życia gospodarczego tak jakoś uregulować, ażeby ludzie żyli ubogo ale chędogo, dopóty walka z partaczami będzie czemś, co w poszczególnych wypadkach może być bardzo słusznem, bo jest i partactwo nieuczciwe, ale która naogół będzie walką i beznadziejną i niepoczciwą.

Projektem uregulowania życia gospodarczego jest projekt korporatywny, tem górujący nad komunistycznym, a górujący niezmiernie, że chce uchronić społeczeństwo od despotji państwa, że chce zachować człowiekowi tę osłonę wolności, jaką jest własność, że chce, aby się ostał prywatny, nieskoszarowany człowiek z prywatnem swojem życiem. To są olbrzymie walory tego projektu i niemi powinien bić, jak świetną kartą, propagandę komunistyczną. Niestety, nie widzimy, aby projekt ten był dostatecznie popularnym wśród biednych i najbiedniejszych. Pokażcie mi tych biedaków, którzy mówiąc „T o s i ę m u s i z m i e n i ć!" marzą o korporatywiźmie... Korporatywizm został dotąd koncepcją nawskroś mieszczańską i inteligencką. Publikacje korporatywne zawierają zacne i subtelne rozważania, pomysłowe i inteligentne. Ale dotąd niema poza socjalistycznym ognia, któryby wielkie masy ogrzał wielką nadzieją. Nie dlatego, ażeby po stronie chrześcijańskiej nie było tam dobrej woli i troski. Chrześcijańska teorja społeczna — tu w szczególności ma się na myśli katolicką — powiedziała w teorji wszystko sprawiedliwie, co było do powiedzenia, plus zdrowy rozsądek, plus obrona człowieka przed totalnym despotyzmem. Ale dotąd nie umiała stworzyć monumentalnej wielkiej wizji ustroju korporatywnego, wizji, któraby była uchwytną dla wyobraźni, zrozumiałą dla wszystkich, i któraby nie była... kłamliwą, jak kłamliwą jest komunistyczna. Trzebaby raz powiedzieć ludziom jakoś tak: K o r p o r a t y w i z m znaczy: N i e b ę d z i e s z s a m, zawsze będą naokoło ciebie ludzie, którzy zajmą się tobą w każdej chwili, gdy ci srogie niebezpieczeństwo nędzy zagrozi, podeprą cię, gdy się zachwiejesz. Taki jest właściwy sens korporatywizmu. Szerokie opiekuńcze skrzydła — to jego symboliczna wizja.

Czytam o związkach kupców, fabrykantów, majstrów, czeladników. Czytam, jak to wszystko będzie się zazębiać jedno o drugie. Czytam dyskusje o większej lub mniejszej ingerencji państwa (co do czego zgadzam się z X. Roszkowskim, że będzie ona musiała być wcale niemałą, bo nie bardzo wierzę w nonegoizm tak majstrów jak i czeladników), mniej czytam o tem, jakby pogodzić parlamentaryzm z korporatywizmem, parlamentaryzm czy inne jakieś przedstawicielstwo politycznych i kulturalnych spraw społecznych, (bo gospodarcze sprawy nie są wszystkiem, a fabrykanci i robotnicy nie mają kompetencji decydować) — czytam więc to i owo — ale kiedy przyjdzie jakiś biedaczysko i zaczyna mi wychwalać bolszewję, że tam przynajmniej i t. d. — to nie dysponuję żadną dostateczną wyrazistą wizją — obietnicą, która temu najbiedniejszemu człowiekowi, co nie jest ani majstrem ani czeladnikiem, ale jest luźnym proletarjackim odpadkiem dzisiejszego ustroju, — w y r z u t k i e m s p o ł e c z e ń s t w a, — powie, jakim sposobem z tego pozaspołecznego stanu on przejdzie w stan społeczny, w zorganizowanem społeczeństwie. Korporatywizm mówi — przynajmniej najczęściej tak mówi — o g o t o w y c h pracodawcach i o g o t o w y c h robotnikach; doskonale; ale co ma być z tymi, którzy nie są niczem gotowem, są tylko płynnym materjałem, złożonym z zdeklasowanych oraz proletarjuszy urodzonych, którzy się niczego nie nauczyli, żadnej specjalności nie posiedli, albo, jeśli ją posiedli, to nie mają co z nią zrobić? Co zrobić ze z b ę d n y m i l u d ź m i? M a j ą p r e t e n s j ę ż y ć.

I widzę tu taką sprzeczność: zbliża nas do tego uporządkowania ustroju korporatywnego wszystko, co z powrotem wiąże społeczność w silne związki zawodowe. Ale stąd to zamykanie się zawodów przed napływem niewyszkoleńców i ściganie partaczy. Wszędzie przed ludźmi biednymi, co chcą żyć, wyrastają egzaminy, taksy, koncesje, zagrody nietylko państwowe, ale także związków zawodowych. Gdzie związkom zawodowym nie udaje się przymus we własnym zarządzie, tam apelują do administracji państwowej i do policji. I właściwie, z pewnego punktu widzenia, dobrze, że tak jest, a mianowicie dlatego, że to wszystko przygotowuje ów gospodarczo uregulowany ustrój. Ale zarazem to wszystko pogłębia biedę, bo utrudnia ludziom życie i to tym najbiedniejszym, zdeklasowanym i proletarjuszom urodzonym.

Tu jest najboleśniejszy wrzód, tu kwestja społeczna w najistotniejszym kształcie. I tu tendencje, zasadniczo zdrowe, korporatywizmu, de facto i aktualnie pogłębiają raczej zło, niż leczą. Wiążą społeczeństwo i to jest zdrowo; ale poza tą więzią pozostawiają nieszczęsną masę proletarjatu najtypowszego, owszem, na skutek zacieśniania się tej więzi, stan nędzy, ze społeczeństwa wyrzuconej, zaostrzają i wyrzutków społeczeństwa mnożą. Tu jest wielka i zawiła kwestja, nad którą warto zastanowić się...

Cyrano.

Z teatru

J. LESZCZYC.

Mały przykład z Teatru Małego

Uderzając w metodę pracy dzisiejszego oficjalnego teatru polskiego, musiałem rzecz stawiać na płaszczyźnie ogólnej; tak ogólnej, jak właśnie ogólne zastosowanie ma wszystko, co o teatrze tym pisałem; nie do takiego bowiem czy innego fragmentu się to odnosiło, ale do całokształtu pracy teatralnej kompleksu warszaw. teatrów pseudo-społecznych, w rzeczywistości państwowo - samorządowych, kierowanych przez T. K. K. T. Ale mógłby ktoś powiedzieć, że ta charakterystyka ujemna, jaką dałem teatrom T. K. K. T., charakterystyka, nie wahająca się przed tak jaskrawą syntezą, jak stwierdzenie, że owe teatry są poprostu mordownią talentów, że te mocne słowa, wypowiedziane w górnym rejestrze uogólnienia — w tejże górnej strefie tylko pozostaną, jako właśnie, zawieszone w powietrzu.

By zarzutu takiego uniknąć, zejdziemy dziś na grunt realnej praktyki.

Więc? Bierzmy sztukę, której rozłożenie na elementy poszczególne będzie najprostsze, która ani zawiłością problematyki, ani skomplikowaniem faktury, ani głębią ideową, nie będzie zaciemniała analizy samego przedstawienia. Przedstawienia, zamkniętego w kamerze, rozgrywanego przez niewielką ilość osób (możnaby nawet powiedzieć, że tylko przez dwie), umieszczonego przestrzennie i czasowo w miejscu nam bliskiem. Weźmy, mianowicie. „Zwycięską płeć“ p. Egana, graną ostatnio w Teatrze Małym.

Że sztuka jest dość słaba, o tem naczytaliśmy się już wiele w recenzjach dzienników. Nie będę ostrzył sobie języka na kręceniu w kółko tej samej osełki złośliwości. Boć nie to, że teatr wystawił jakąś zagraniczną nędzę, jest dla mnie kamieniem obrazy.

Nawiasem powiem, iż nie wydaje mi się, by to była nędza, ale przypuśćmy, że tak jest. Łamanie rąk nad wystawianiem sztuk słabych jest tylko jeszcze jednym dowodem niezrozumienia, czem jest w istocie teatr; jest bowiem dokonywaniem równania między sztuką a przedstawieniem, co jest znowu jeszcze jednym wyrazem panującej dziś doktryny odtwórczości, jako zadania teatru, a więc odmawiania teatrowi samodzielnego bytu. Jeśli się jednak zrozumie, że teatr jest samodzielnie twórczą sztuką, że tekst autorski nie jest jeszcze dziełem, lecz tylko materiałem do stworzenia dzieła, wówczas zacznie się też rozumieć, że może być słaba sztuka, a interesujące przedstawienie.

Oczywiście, wolę dobrą sztukę, tak, jak u tego samego twórcy wolę portret, malowany z genjalnego modela, niż z matoła, acz oba będą interesujące jako dzieło tego właśnie twórcy; lecz kto wie, czy dla jego talentu nie będzie bardziej miarodajny — właśnie ten matoł, jako materjał bardziej oporny.

I dlatego w obecnym okresie, gdy co do zdolności twórczej naszego teatru można mieć daleko idące wątpliwości, wystawianie właśnie sztuk słabych mogłoby być nieraz cennem doświadczeniem, ukazującem, czy i w jakim stopniu teatr nasz zaczyna wchodzić na tor rzetelnie samodzielnej twórczości.

Jeśli „Zwycięską płeć“ uznamy za taką sztukę słabą, która, jak się to zwykło u nas pisać, niewiadomo po co została wystawiona, to sensem jej wystawienia jest dla mniej możność przekonania się, czy teatr jej słabości uległ, czy też potrafił ją przezwyciężyć. Jeśli dziś słuszny jest pogląd, że nie należy wystawiać sztuk słabych, to słuszny dlatego, że z reguły teatr pod taką sztuką sam się kładzie, miast ją swoją siłą do góry podciągać.

Jakiż można było wydobyć sens ze „Zwycięskiej płci“? Sens, oczywiście, generalny, boć taki musi być dążeniem każdego działania teatru. Stonowawszy angielską naiwność komedji (mniejszą zresztą, niż w niejednej sztuce Shawa) można było wydobyć z niej twardą wymowę szarości pewnej prostej prawdy; prawdy niedobranego, to znaczy podobnego w swej postawie wobec otoczenia, a dlatego nieznośnego dla siebie wzajemnie małżeństwa.

Warszawski reżyser „Zwycięskiej płci“ zupełnie konieczności takiego ujęcia sztuki nie zrozumiał. Ba, poszedł w kierunku wręcz przeciwnym. Dał sztuce niewątpliwie ostry zarys psychologiczny, ale zarys bardzo zindywidualizowany, szarpiący kontur postaci w rozwichrzenie niemal patologiczne. W wyniku mógł sprawdzić naocznie, jak fałszywy jest pogląd, iż indywidualizacja charakteru zawsze daje sceniczną prawdę; indywidualizacja bowiem tam, gdzie nie chodzi o indywidualność (jako np. realny byt historyczny albo jako świadomy symbol) daje sceniczny fałsz.

Toteż nic dziwnego, że scena Teatru Małego robi, jak już podkreślano w recenzjach, wrażenie domu warjatów. Nie zdawano sobie jednak sprawy z przyczyny tego efektu, wyładowując irytację na autorze sztuki.

Sztukę reżyserował p. Zbigniew Ziembiński. Od niedawna występujący w teatrach stołecznych, odrazu zjednał sobie i publiczność i krytykę swą nieprzeciętną inteligencją. Jego Poeta w „Weselu“ był jedną z lepszych ról naszego młodego aktorstwa. Typowy aktor z wielką przyszłością. Cóż, kiedy tę przyszłość uznał już za teraźniejszość. A co gorsza, temu samemu złudzeniu uległo kierownictwo teatru.

P. Ziembiński był aktorem, potrzebującym ze względu na bujność swej indywidualności aktorskiej, bardzo starannej opieki reżyserskiej; tymczasem jego samego uczyniono reżyserem. Szczególnie to jaskrawy przykład fałszywego gospodarowania ludźmi.

Wyznać jednak muszę, że więcej, niż reżyserja i występ p. Ziembińskiego (gra jego była tylko dobitnym wyrazem fałszywości reżyserskiego podejścia do sztuki) interesowała mnie rola Romanówny. Niektórzy recenzenci uznali rolę tę za niezwykły wręcz tryumf artystyki. Melancholja, z jaką trzeba było patrzeć od szeregu lat (bodajże od „Końca Pani Chesney“) na grzęźnięcie tego, jednego z najgłębszych talentów aktorskich w płytkiej minoderji, mogła podniecać tylko radosność nadziei, że wreszcie nastąpił jakiś przełom; z tą nadzieją szedłem do teatru. Zawiodła.

Nie mogę zaprzeczyć, chcąc być sprawiedliwym, że Romanówna dała coś nowego; jej podcieniowanie rysunku groteską, zwłaszcza w drugim akcie, było nader subtelne. Dobywało efekt, bodajże u aktorki tej dotychczas nieznany. Ale w tej właśnie roli — zupełnie nie na miejscu. Tylko głęboka rzetelność powagi wobec samej siebie mogła bowiem uczynić rolę sensowną, to znaczy wyrażającą pewną prawdę, przez którą mogłaby przemówić owa zwycięska płeć. Najdyskretniejsza nawet, a przyznaję, że doskonale przeprowadzona, karykatura czyniła tę kobietę czemś, z punktu widzenia owego jedynego sensu sztuki, o jakim mówiłem — zupełnie niezrozumiałem. Czyniła z niej jakieś krnąbrnie przekorne zwierzątko, zamiast unieszczęśliwiającej miłością, właśnie nieznośnie poważną miłością, przeraźliwie dojrzałej kobiety.

Ale, powiedzmy sobie wyraźnie, takie ujęcie roli, o jakiem mówię, wymagałoby rzeczywistego wysiłku aktorki.

Jeżeli aktorka chciałaby po linji takiego wysiłku pójść, nie mogłaby być z niej zepchnięta przez reżysera; w każdym razie nie wydaje mi się, by tu tego rodzaju sytuacja zachodziła. Romanówna była w ujmowaniu roli z Ziembińskim cały czas zgodna.

Nie mówmy o szczegółach. Dawanie sztuki do reżyserji oraz głównej roli męskiej młodemu aktorowi wyjątkowych zdolności, który jednak nie umie jeszcze sam sobie narzucić należytej dyscypliny (choćby to ciągłe rozkrzyczenie, którem już tak nużył w „Tessie“), a z drugiej strony dopuszczanie do absurdalnie fałszywego stawiania roli przez jedną z najzasobniejszych artystycznie kobiet w zespole — wystarczy, by z wystawienia „Zwycięskiej płci“ uczynić żałośnie wymowny przykład tego marnowania talentów, jakie dziś widzimy w gospodarce artystycznej teatrów.

Jakiż jest skutek tego rodzaju gospodarki? Sztuka, poprostu i typowo blankietowa, dająca się zatem *wypełnić* teatralnie, stanowiąca scenarjusz, z którego można pewne rzeczy wygrać, w tym wypadku rzeczy nawet interesujące, staje się w interpretacji naszego teatru — i jedynie w wyniku tej właśnie interpretacji — kryminałem nie do wytrzymania. Teatr w ten sposób zabijając sztukę, miast ją ożywiać, wręcz zaprzecza własnemu przeznaczeniu.

Reżyser i aktorzy, których mu oddano pod kierownictwo nie umieli sobie ze sztuką poradzić. Nie do nich jednak trzeba mieć pretensje; przeciwnie, pretensję trzeba mieć *o nich*. Fakt bowiem, o jakim piszemy nie jest odosobniony. Gdyby był odosobniony — nie byłoby go zapewne wcale.

I tu dochodzimy do skutku, będącego zjawiskiem trwałem: p. Ziembiński źle sztukę zrozumiał dlatego, że nikt nie dba o to, by reżyserowane sztuki zrozumiał właściwie. P. Ziembiński źle zagrał główną rolę, gdyż ma za kierownika — siebie samego. P. Romanówna źle zagrała drugą główną rolę, gdyż tu miała p. Ziembińskiego, a pozatem nie ma kierownika wogóle. Talent Romanówny marnuje się od szeregu lat, talent Ziembińskiego niszczony jest na samym początku swego rozwoju; co tu najpotworniejsze, to, że ową egzekucję wykonywa Ziembiński, jako reżyser, sam na sobie.

To, co widzieliśmy dziś w sztuce p. Egana, widzieliśmy wiele razy w innych sztukach; z innymi aktorami. Sposób wystawienia „Zwycięskiej płci“ to nie wypadek, lecz przykład.

Nie potrzebowaliśmy sięgać po ten przykład daleko. Wzięliśmy Teatr Mały, jako małe poletko badawcze, na którem wszakże ujawniła się obecna polityka teatralna w całej swej tragicznie wielkiej bezmyślności.

LEON TOMNICZAK.

Film propagandowy

Od czasu wprowadzenia obniżonych stawek podatkowych na filmy, o treści zaczerpniętej z historji polskiej, rośnie z przerażającą szybkością liczba obrazów rzekomo „narodowych", kontuszowych, legendarnych, królewskich. Znając ideowe nastawienie, poziom umysłowy i metody pracy naszych producentów filmowych, nie trudno było przewidzieć, co wyniknie z tego nowego ruchu. I rzeczywiście zaledwie zdołano sparodjować „Straszny dwór", zniekształcić bezecnie „Wierną rzekę", a już na horyzoncie zaczynają straszyć upiory Fredrowskiej „Zemsty", „Pana Jowialskiego" i Sienkiewiczowskich bohaterów. Leżało jak na dłoni, że królewski kochanek, Zygmunt August, nie zdoła uniknąć swego losu, jeden z pierwszych. I już go mamy. Już wziął go w arendę A. G. Film. „A. Grünstein ma zaszczyt przedstawić Barbarę Radziwiłłównę"...

Sam fakt nie byłby, w naszych stosunkach, godzien szczególniejszej uwagi: jeszcze jeden dobry temat filmowy popsuty nieudolnem wykonaniem, jak tyle innych. Ale sprawa komplikuje się wobec wiadomości dziennikarskich, że film ma być rzekomo zakupiony na zagranicę i wobec, pantoflową pocztą rozszerzanych pogłosek, że nasze M. S. Z. ma patronować tej akcji, uznając go za wysoce propagandowy. Tu zaczynają w grę wchodzić interesy znacznie wyższe, niż tylko handlowe kalkulacje A. G. Filmu i już nie wolno traktować „Barbary" na równi z przeciętnym okazem rodzimej produkcji filmowej.

Obejrzenie obrazu nasuwa przedewszystkiem obawy przed zbyt prostacką spekulacją, na analogje pomiędzy świeżemi zdarzeniami w Anglji, a ich odpowiednikiem w renesansowej Polsce, w ujęciu naszych filmowców. W zestawieniu z dojrzałością, bezkompromisowym patrjotyzmem i siłą charakterów, jakie dopiero co wykazało całe społeczeństwo angielskie i główni bohaterowie dramatu, nasi Ekrano-Polacy sprawiają tembardziej niewymownie żałosne wrażenie. Zarzut spaść musi w równym stopniu na autorów scenarjusza, co na wykonawców. Konflikt racji stanu z pragnieniem osobistego szczęścia u króla, prosił się o wyimaginowanie królowi jednego głównego przeciwnika, który byłby p o r t e - p a r o l e interesu państwa. Zamiast tego mamy króla w zapasach z sejmem, który to sejm jest znów chaotycznym wiecem niesfornej, nieucywilizowanej hałastry, opanowanej myślą, żeby jedna magnacka rodzina nie wysunęła się zbyt wysoko ponad inne. Obraz tego sejmu uznać można niewątpliwie za propagandowy, ale w sensie antypolskim. Polnische Wirtschaft!

W cudzoziemskim widzu nic nie może obudzić wyobrażenia, że Polska, którą ma przed sobą, była jednem z największych mocarstw ówczesnej Europy, a jej król jednym z najświatlejszych książąt panujących. Cudzoziemski widz zdumiałby się nad barbarzyństwem obyczajowości tej, renesansowej Polski, gdzie gawiedź pijacka, z którą król ucztował, traktowała go więcej niż z bezceremonjalną poufałością, gdzie gamratki z nocnych hulanek pląsały na wielkich przyjęciach u dworu, a król właśnie przed tą kompanją uznał za właściwe, obwieścić swoje małżeństwo. Wogóle postać króla, poczynając od mongolskiego typu fizycznego, jest jednym fałszem. Trzebaby przechodzić szczegół po szczególe w tym filmie, — a tu nie miejsce na to, — by wykazać autorom i realizatorom, że nie mają pojęcia ani o charakterze epoki, ani o atmosferze dworu jagiellońskiego, ani o obyczaju ówczesnej magnaterji, ani nawet o osobach Zygmunta i Barbary; że brak im zupełnie poczucia polskiego pejzażu i nawet monumentalności Wawelu nie potrafili ukazać i wyzyskać.

Nie dotykamy tu wcale strony techniczno-reżyserskiej, która niezawodnie mniej razi nieporadnością, niż w innych naszych filmach kostjumowych. Mówimy jedynie o walorach reprezentacyjnych dla zagranicy. Te należałoby skrupulatnie przemyśleć i zanalizować. Szczególnie na terenie angielskim mamy pod względem propagandy jeszcze niemal wszystko do zrobienia. Jeżeli po wizycie naszego ministra spr. zagr. zainaugurowano tam z naszej strony energiczną kampanję propagandową, (jak należałoby przypuszczać) to warto dobrze się zastanowić, czy na tym terenie właśnie ten film będzie pożądanym satelitą tej o wiele donioślejszej akcji.

Przegląd Prasy Krajowej

„MY, PAŃSTWOWCY", W CELI NR. 55.

Tam, „gdzie kończy się człowiek, a zaczyna numer", jest wiele czasu do rozmyśleń. Ale doświadczenie uczy, że wynik tych rozmyślań więziennych rzadko kiedy bywa pożyteczny.

Osobnik, znaczony w *Zaczynie* numerem 55, rozmyślania swoje skierował w stronę „Rady nauk ścisłych i stosowanych". Z typową zawiścią niedouka zieje obelgami na tych, których kultura wysunęła na przodujące stanowisko w społeczeństwie:

> „Uczeni i profesorowie są tylko „specami". „Tylko" — ale jakże to wiele! My, państwowcy, wołamy głośno, uważamy za rzecz niemożliwą powierzanie tajnych spraw państwowych komukolwiek poza odpowiedzialnemi czynnikami o typie wyłącznie państwowym".

Więc „uczeni i profesorowie" — o ile nam wiadomo, zaprzysiężeni urzędnicy państwowi — nie są „odpowiedzialnemi czynnikami o typie państwowym", tam zwłaszcza, gdzie chodzi o tajemnicę państwową.

> „Pragniemy, aby panowie profesorowie wiedzieli, że zarówno my, państwowcy, jak i ludzie świadomi rzeczy jednakowo krytycznie odnosimy się do rzeczoznawców — uczonych, jak i do innych radców i doradców, którzy państwo traktują, jak bogate przedsiębiorstwo, od którego żąda się wysokich honorarjów".

Pomyłka w adresie. Należało powiedzieć zamiast „rzeczoznawców" — „karjerowiczów" i „wysokich emerytur".

Atak „Zaczynu", mierzący poprzez „Radę" w obecne Ministerstwo Oświaty, a poprzez wymienionego prof. Czochralskiego jeszcze znacznie wyżej, przeholował w chytrości. Bo jeśli numer 55 mówi na wstępie:

> „Rada powstała 29 listopada b. r. Lepiej późno, niż nigdy. Dlaczego zwlekano u nas tak długo z utworzeniem tak koniecznej instytucji, tego żaden państwowiec nie zrozumie".

— to się nasuwa prosta rada: numerze 55, zapytaj o to braci Jędrzejewiczów. Łatwo wskażemy n-rowi 55 odpowiedź. Znajduje się w cytowanym w n-rze 12 „Odnowy" artykule Janusza Jędrzejewicza, którym uzasadniał w czasopiśmie *Nowe Państwo* ustawę o szkołach akademickich:

> „Przedewszystkiem powaga ich w społeczeństwie niesłychanie zmalała. Tytuł profesora, uczonego, już dziś nie imponuje, profesor przestał stać na świeczniku społeczeństwa — ten sam zresztą los spotkał literata i artystę. Przyszły nowe czasy i nowe zadania, w których nauka w oczach społeczeństwa staje się tylko narzędziem pomocniczem w rozwiązaniu zagadnień chwili, a uczony jest już tylko specem, do którego należy się zwracać w razie potrzeby. Aureola uczoności znikła, został tylko głos fachowca".

Przypomnijmy sobie, że pisał te słowa... minister oświaty.

Dziś, przy panującej modzie, p. Janusz Jędrzejewicz mógłby pociągnąć nr. 55 do odpowiedzialności o plagjat.

BIUROKRACJA ZAWIODŁA.

Dawidgródek słynie z wyrobu najlepszych butów nieprzemakalnych. Delegacja szewców dawidgródeckich udała się do Pana Prezydenta, aby mu, zamiłowanemu myśliwemu, złożyć w darze jedną taką parę, ostatnie słowo szewskiego kunsztu. Delegaci podali przy tej sposobności prośbę, aby nie przerywać robót przy odbudowie cerkwi na górze zamkowej, co Pan Prezydent raczył uwzględnić.

Z tej prostej napozór sprawy odbudowy cerkwi wynikł skandal. Pisze „*Słowo*" wileńskie.

> „Skandal z punktu widzenia kultury, już na miarę europejską, jest tak widoczny, że nie potrzebuję go podkreślać".

Okazało się bowiem, że przy kopaniu fundamentów na nową cerkiew natrafiono na starożytne grobowce, których pochodzenie uczeni określają na wiek X do XII. Część zabytków zniszczono, ale po alarmach.

> „Władze nakazały wstrzymać roboty przy fundamentach. Wszyscy odetchnęli. Świat naukowy, w trosce o zachowanie skarbów wiedzy, otrzymał gwarancję, że nie zostaną zniszczone.
> I cóż się stało?
> Po kilku dniach jedzie dwóch szewców na Zamek Królewski z długiemi butami, wprowadza ich poseł Freyman (wybrany z ziemi Pińskiej, ale rodem z Warszawy), i ci, w swej nieświadomości, powtarzają niewiadomo przez kogo podszepnięte słowa z prośbą o wznowienie prac przy budowie cerkwi, które to prace równoznaczne są ze zniszczeniem epokowych odkryć archeologicznych. Dwóch szewców, powtarzam, i jeden poseł! Pan Prezydent w swej dobroci, zajęty, strudzony, obarczony tysiącami spraw największej wagi państwowej, daje swe zezwolenie".
> Pozwolę sobie wyrazić przekonanie, że kryje się tu jakaś gruba, a bardzo przykra afera. Afera, jednocześnie *trącąca śmiesznością* i dlatego sprawcy jej powinni być pociągnięci do najsurowszej *odpowiedzialności moralnej*, ile że pozwolili sobie na bezprzykładne nadużycie, nadużycie dobrej woli Największego Dostojnika w państwie".

Machina biurokratyczna, informująca Pana Prezydenta, nie zdała tym razem egzaminu.

AMERYKANIZACJA.

Biurokracja nasza pozazdrościła Ameryce laurów... niszczenia... Tam wrzuca się tysiące worków kawy do morza, tam niszczy się nadmiar inwentarza — dla kalkulacji cen. Ale to, o czem donosi łódzkie czasopismo *Co słychać?* — jest kalkulacją tępoty:

> „Na stacji w Andrzejowie pod Łodzią nagromadzono podkłady drzewne, które, jako częściowo zepsute, wydobyto z pod szyn, w ilości kilkuset sztuk. Drzewo to miało być sprzedane, ponieważ jednak dawano za nie zbyt niskie ceny, miejscowe władze kolejowe postanowiły je zniszczyć. Gdy dowiedział się o tem miej-

scowy Komitet Pomocy Zimowej, zwrócił się do zawiadowcy stacji, prosząc, aby drzewo to zostało ofiarowane na opał dla bezrobotnych. Spotkał się jednak z odmowną odpowiedzią, motywowaną tem, że wydane zarządzenie o zniszczeniu musi być wykonane.

Drzewo ułożono w stos, podlano naftą i podpalono. Belki płonęły kilka dni. Zatrudniono przy tem kilku robotników, którzy mieli czuwać, by ogień nie przedostał się na zabudowania. To samo miało miejsce na stacji sąsiedniej w Gałkówku".

Czytaliśmy w sprawozdaniach Najwyższej Izby Kontroli, że materjał kolejowy przewożono kilka razy z Pruszkowa na Pragę i z powrotem, aby wzrosła jego księgowa wartość. Przytaczał nam p. Bernadzikiewicz różne inne nonsensy gospodarki państwowej. Ale ten fakt — pod Łodzią, w centrum bezrobocia i nędzy — jest chyba dowodem szczytu bezmyślności. Zapytujemy: kto za to głupstwo poniesie odpowiedzialność finansową? I kto za to szkodnictwo społeczne poniesie odpowiedzialność karną?

ABSURDY.

Jeden z notarjuszów warszawskich ogłasza szereg licytacyj na mieszkanie w domu współdzielczym przy Alei 3-go Maja 2. Czytamy:

„...odbędzie się... sprzedaż przez licytację publiczną praw do lokalu (mieszkania) nr. 3, składającego się z pokoju, kuchni, przedpokoju, klozetu, znajdujących się na parterze o ogólnej powierzchni obliczeniowej 38.18 m. kw. Cena wywołania do licytacji w pierwszym terminie wynosi zł. 19.805.16 (wyraźnie: osiemnaście tysięcy osiemset pięć złotych!).

Inne licytacje obejmują mieszkanie trzypokojowe o powierzchni 115 m. kw. przy cenie 65.000 zł., przyczem dług banku wynosi 30.000 zł. Albo 3 pokoje o powierzchni 65 m. kw. za 30.000 zł., z obciążeniem bankowem 17.000 zł.

Zastanówmy się chwilę. Jeżeli ktoś posiada gotówką 35.000 złotych, za które może kupić niezły mająteczek kilkudziesięciomorgowy z domem mieszkalnym i zabudowaniami gospodarczemi, albo wystawić dwupiętrową kamieniczkę na Grochowie z sześcioma trzypokojowemi lokalami — czy będzie tak naiwny, aby kupować trzypokojowe mieszkanie w spółdzielni?

Powoli życie wyciąga na jaw różne niesamowite kalkulacje z okresu radosnej twórczości. Przecież członek spółdzielni, który dotąd mieszka w identycznem mieszkaniu obok, taką właśnie horendalną sumę za to swoje mieszkanie wpłacił. Spółdzielnia, wystawiając mieszkanie niepłacącego członka na licytację, oblicza „swoje" faktyczne koszty. Ilu takich ludzi jest w Polsce, z których, przy pozorach udogodnień, zdarto skórę do żywego?

DO CZEGO NAS DOPROWADZONO...

Obecną sytuację Polski tak określa *„Goniec Warszawski"*:

Na niespełna 390 tys. kilometrów kwadratowych żyje w chwili obecnej ponad 30 miljonów Polaków, w nędzy i biedzie. Z jednego hektara wydobywamy niewiele ponad 11 kwintali zboża. Przemysł nasz zatrudnia tylko niecałe 10 proc. zagęszczającej się coraz bardziej i nie wiedzącej, co z sobą począć, ludności, której potrzeby zaspokaja tylko w części, gdyż sporo gotowych wyrobów trzeba przywozić z zagranicy. W handlu pracuje niecałe 4 proc. Konsumcja pszenicy jest u nas 4 razy niższa niż w zachodniej Europie, cukru i węgla 6 razy, energji elektrycznej 10 razy. Analfabetyzm wynosi 20 proc., ale i w dorastającym pokoleniu co dziesiąte dziecko nie znajduje miejsca w szkole ludowej, a zatem skazane jest na los analfabety. Płace pracowników wiejskich i miejskich głodowe. Trzy czwarte handlu, a w niektórych częściach państwa dziewięć dziesiątych zawodów wolnych opanowali żydzi, co piąty obywatel Polski jest bez pracy. A wreszcie: w obliczu olbrzymich zbrojeń zagranicy, obronność państwa nie jest dotąd należycie zabezpieczona.

A. W.

Z prasy Zagranicznej

CHINY.

W ocenie specyficznych chińskich stosunków prasa europejska jest bardzo wstrzemięźliwa. Zamieszcza telegramy Havasa, Reutera, trochę fotografij, oddawna spoczywających w zapasach redakcyjnych. Przyczynę tej ostrożności tłomaczy *„Le Temps"*:

„W sprawach Dalekiego Wschodu niema rzeczy prostych, a polityka chińska i dyplomacja japońska mają swe biegi i wybiegi, których nasza europejska mentalność nie jest w stanie zrozumieć.

Wydaje się przecież, że znajdujemy się wobec wyraźnej rywalizacji dwóch marszałków, Czang-Kai-Czeka i Czang-Hsue-Lianga. Że jest ona pokryta pretekstem najszczerszego patrjotyzmu i najżarliwszego nacjonalizmu, nie powinno dziwić, ponieważ zasady i formuły tych pojęć są inne w Chinach, niż w Europie. Ale w Chinach najskrajniejsze przeciwieństwa nie stawały na przeszkodzie subtelnemu i przemyślnemu wyrównaniu, gdy nadszedł dogodny moment".

„Popolo d'Italia" uważa, że:

„Zamach stanu nastąpił w chwili, gdy Czang-Kai-Szek osiągnął najdalszy stopień konsolidacji Chin. Istnieją obawy, że akcja zjednoczenia Chin ulegnie obecnie zahamowaniu".

„The Times":

„Konsekwencje zamachu stanu są trudne do przewidzenia. Chińskie koła polityczne oczekują z obawą reakcji Japonji".

„Daily Express":

„Sowiety rzuciły już silne oddziały wojskowe na swoją wschodnią granicę. Powstańczy marszałek (Czang-Hsue-Liang) ma podobno do dyspozycji w prowincjach północnych trzysta tysięcy żołnierzy".

„Berliner Tagblatt":

„Angielskie koła oficjalne są bardzo zaniepokojone wiadomościami z Chin. W uwięzieniu Czang-Kai-Szeka widzi prasa w obecnych warunkach wstęp do rozprawy rosyjsko - japońskiej albo chińsko - japońskiej".

„Le Matin" pod tytułem: „Rewolta antyjapońska w Chinach" daje wyjaśniający podtytuł:

„Marszałek Czang-Kai-Szek, który wyruszył przeciw komunistom w Szen-Si, został uwięziony przez Czang-Hsue-Lianga, który rządził Mandżurją przed objęciem protektoratu przez Japonję.

Moskwa przedstawiała niemiecko - japoński pakt antybolszewicki jako manewr otoczenia Sowietów, kiedy w rzeczywistości Japonji chodziło o przeszkodzenie w mieszaniu się Sowietów w sprawy chińksie.

Nie należy zapominać, że działalność Sowietów na Dalekim Wschodzie jest równie dla pokoju niebezpieczna, jak ich akcja w Hiszpanji, i wydaje się, że jest to plan zdawna przygotowany".

NIEMCY I KOLONJE.

Mowa dr. Schachta w frankfurckiem Towarzystwie Geograficznem na temat „naród bez przestrzeni" była przyjęta przez prasę, jako wyraz stałych dążeń niemieckich do zwrotu kolonij, zabranych traktatem wersalskim. *„Times"* ogłosił list D. Cecil'a, domagający się od Anglji praktycznych propozycyj załatwienia tej sprawy:

„Problem kolonjalny nie wywołuje żadnych bezpośrednich sporów między Anglją i Niemcami. Według prawa historji jest rzeczą naturalną, że kraj o tak silnej żywotności, jak Niemcy, potrzebuje dla swego rozmachu i żądzy czynu takiego pokojowego wentyla".

Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że tym razem mowa dr. Schachta odnosiła się do innej, zupełnie nowej sprawy kolonjalnej: portugalskiej Angoli. Pomimo zaprzeczeń Havas podtrzymuje swą wiadomość o pertraktacjach między Portugalją a Niemcami:

„Układ, który ma być w najbliższym czasie zawarty, przewiduje, że Portugalja odstąpi Niemcom całość lub część Angoli. Częścią najbardziej interesującą Niemcy byłaby Angola południowa, granicząca z dawną ich kolonją, Afryką południowo - zachodnią. Układu nie będzie zawierać Rzesza jako państwo, lecz za pośrednictwem Niemieckiego Towarzystwa Kolonjalnego".

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że u nas w r. 1928 założyciele Związku Pionierów Kolonjalnych przewidzieli możność dojścia do porozumienia z Portugalją pod tym względem i poczynili pewne kroki przygotowawcze. Z chwilą objęcia ministerstwa spraw zagranicznych przez p. Becka oraz wskutek zagarnięcia Związku przez sanację akcja została zaprzepaszczona.

POLONICA.

„Le Temps" podaje treść specjalnego numeru Gazety Handlowej, wydanego po polsku i po francusku i poświęconego współpracy gospodarczej polsko-francuskiej.

Interesującą wiadomość podaje *„Germania"*:

„Sprawozdanie Zarządu Bibljotek publicznych w Waszyngtonie podaje, że książką w ostatnich 40 latach najpoczytniejszą w Stanach Zjednoczonych, to znaczy najpokupniejszą, jest na pierwszem miejscu „Quo Vadis" Henryka Sienkiewicza, następnie „Robinson Crusoe" Daniela Defoe oraz „Targ próżności" Thakeray'a. Rozumie się oczywiście, że literatura lekka też się cieszy poczytnością, ale te książki nie trzymają się na rynku zbyt długo".

Mało znaną informację ekonomiczną zamieszcza *„La Journée Industrielle"*:

„Polska stara się rozwinąć winnice, aby obejść się bez importu win zagranicznych. W ostatnich latach daje się zauważyć w południowej Polsce, zwłaszcza na Podolu, stosunkowo silna akcja za zakładaniem winnic. Chodzi przedewszystkiem o zatrzymanie w kraju dewiz oraz o zatrudnienie bezrobotnych. Wprawdzie na razie wino polskie jest tego rodzaju, że nie może konkurować z francuskiem—chyba jedynie z rumuńskiem — ale projektuje się wielkie piwnice - przechowalnie, co może wpłynąć na polepszenie gatunku. Stwierdza się obecnie znaczny napływ młodzieży polskiej do francuskich specjalnych szkół kultury winnej".

Azet.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr. 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1.50; zagranicą zł. 2.— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ str. — zł. 125.—; ¼ str. — zł. 75.—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. **WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.**

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Nowy-Świat 54. Tel.: 615-56 i 242-40.